Miesięcznie 95 groszy
Prenumeratę przyjmuje każda poczta!

1 egz. 30 groszy

# Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 20 stycznia 1935 r. Nr. 3.



## *Baśń*

Przędzie się miłości cudna baśń...
Jest „królewicz", jest i „królewna",
Jest w sercach słoneczna szczęścia jaśń,
Jakaś rozkosz cicha, rozlewna...

Snuje się srebrzysty marzeń ścieg,
Ułudą wydaje się życie — — —
Choćby na sercu trosk ciężar legł,
Będziemy w młodzieńczym trwać zachwycie...

DANUTA WYRYBKOWSKA.

# Na fałszywym torze

*(Powieść współczesna)*

20.

Pocieszałam ją po jej pierwszem tragicznem małżeństwie i tutaj w Warszawie zawsze służyłam radą i pomocą. Zdaje się, że i drugie małżeństwo mi-świetnych pozorów nie bardzo się jej udało. To przecież nie był związek z miłości!

— Tylko? — wtrącił Ozonicz. Zląkł się rewelacji. Z trudem ukrywał zdenerwowanie.

— Czy ja wiem? Z wyrachowania, wskutek zbiegu okoliczności, a raczej — z desperacji. Musiał ją spotkać jakiś zawód — spojrzała ukradkiem na Goreykę. Wyglądał przez okno z niewzruszonym spokojem. — Z listów jej wywnioskowałam, że nie czuje się prawdziwie szczęśliwa.

W tej chwili Ryszard zwrócił głowę nagłym ruchem i wpatrzył się wyczekująco w Jaśkę. Pomyślała ze satysfakcją: „Aha, mam cię ptaszku, tu cię boli". Opowiadała z ożywieniem dalej:

— Zdaje się, że on jest o nią wściekle zazdrosny. Lecz to, co mnie spotkało, trudno już podporządkować pod ten sam rachunek.

— No powiedzże Jasieńko wreszcie, co to było? — zawołał zaciekawiony Maszczyński.

— Zaraz, zaraz, nie denerwuj się! Otóż w zeszłym tygodniu byłam z koleżankami na premjerze w teatrze Małym. Miałam wolny wieczór, poszłyśmy więc zobaczyć, jak się inni wygłupiają!

— Ładne wyobrażenie ma pani o swojej sztuce! — przerwał jej Orlica.

— Gdyby pan był aktorem, toby mnie rozumiał. Patrzę, w loży naprzeciw nas siedzi Pomirecki z Beatą i jeszcze z jakimś panem. Powiadam wam — niesamowita gęba! Poprostu trupia główka!

— To ten wynalazca, jego przyjaciel. Mówiłem już, że nie odstępuje księżnej ani na krok — objaśnił Ozonicz. — Pysznie go pani określiła. Istny „upiór w operze!"

— No, bo tak wygląda! Już od blisko czterech miesięcy nie miałam od Beaty ani słóweczka, a nie widziałam jej od czasu jej ślubu. Ucieszyłam się więc szalenie. Kłaniam się jej, wymachuję ręką, omało z loży nie wyskakuję — a ona nic. Dopiero mąż, czy ten trupposz zwrócili jej widocznie na mnie uwagę, bo raczyła się odkłonić z miną wielkiej damy. Jak manekin. Myślałam, że może postara się zobaczyć ze mną podczas następnej przerwy. Tymczasem przeszedł akt — patrzę do loży — a oni poprostu zwiali! Byłam przekonana, że Beata zasłabła, bo nawet wydawała mi się jakaś zmieniona.

— Może oczekuje potomka? — zapytał Orlica.

— Mogłaby jeszcze zapatrzeć się w to widmo, które jej nie opuszcza ani na krok! Dopieroby Warszawa miała o czem mówić — śmiał się Maszczyński.

— Cicho! Dajcie człowiekowi dojść do słowa. Telefonuję nazajutrz do Beaty, lecz służba mówi, że księżnej niema w domu. Telefonuję drugi raz — i znowu ta sama odpowiedź. Uwzięłam się i posyłam list. I oto patrzcie, co mi odpisała — zaraz, mam odpowiedź przy sobie.

— Od Beaty? — zapytał Goreyko ochrypłym głosem.

— Nie, od księcia. Słuchajcie! „Wielce łaskawa Pani! Przepraszam za szczerość, ale jestem zmuszony postąpić zupełnie otwarcie. Żona moja prosi, aby zechciała Pani zapomnieć o łączących ją z Panią zażyłych stosunkach. Ostatnie zajście, spowodowane Pani nieopatrznem postępowaniem, naraziły moją żonę na tyle przykrości, że w obawie, aby nie znalazła się znowu w tego rodzaju kompromitującej sytuacji, zmuszona jest zrezygnować z przyjaźni Pani. Jeszcze raz proszę wybaczyć mi moją szczerość i przyjąć wyrazy należnego poważania — Ks. Roman Pomirecki".

— No i co państwo na to?

— Ot, zwyczajny objaw snobizmu arystokraty, któremu się zdaje, że musi się ustrzec przed następstwami mezaljansu — rzekł Orlica. — Niema się czem przejmować.

— Moja Jasieńko, to było do przewidzenia. Ludzie zmieniają się zupełnie, gdy los pozwoli im przeskoczyć kilka stopni karjery społecznej. Ale fortuna kołem się toczy. Znudzi się Pomireckiemu żona, to ją rzuci. A wtedy ty będziesz na nią spoglądała zgóry — uspakajał Maszczyński wzburzoną Jasię.

— To jednak boli — mówiła z rozżaleniem. — Panowie nie wiecie, jaka przyjaźń nas łączyła. Nigdy nie spodziewałam się po Beacie, że się tak nieprawdopodobnie zmieni w stosunku do mnie. I nie wierzę, aby książę napisał ten list z jej inicjatywy!

— A ja wierzę — rzekł Ozonicz z niespodziewaną zawziętością. — Księżna potraktowała mnie dzisiaj z tak wyniosłą nonszalancją, że dopiero teraz widzę, jakim murem pragnie się odgrodzić od sfery dawnych znajomych. A książę jak postępuje? Mówił mi, że na przyszły czwartek będą w Warszawie i mają zamówioną lożę na premjerę w „Boheme". Nie raczył mnie nawet zaprosić, choć dawniej udawał mojego szczerego przyjaciela. Chciał zapewne mieć we mnie kontrolera jego — przyjaciółki!

Goreyko wstał. Był blady, lecz chłodny i skupiony. Spojrzał na zegarek.

— Wybaczcie państwo, ale niestety muszę już odejść. Jestem zmęczony — dopiero wczoraj w nocy wróciłem z Paryża. Czekają na mnie jeszcze ważne sprawy do załatwienia. A więc jutro oczekuję pana u mnie w biurze, drogi dyrektorze. Telefonicznie ustalimy najdogodniejszą porę na konferencję. A pan, panie doktorze zechce łaskawie przygotować wszystkie akta i dokumenty. Całuję rączki — skłonił się przed Jasią. — Moje uszanowanie!

— Stopanie, proszę dowiedzieć się, którą lożę zarezerwowano w teatrze „Boheme" dla księcia Pomireckiego? Tutaj są pieniądze, niech Stefan postara się kupić lożę naprzeciw.

— Słucham. Załatwię wszystko według rozkazu.

Był zdenerwowany jak sztubak. Nie mógł doczekać się wieczoru. Sam nie zdawał sobie sprawy z tego, jaki cel ma ta moralna autowiwisekcja. Czyżby to była poprostu tęsknota za widokiem Beaty?... Nigdy nie sądził, że potrafi tęsknić, że jest wogóle dostępny dla tak sentymentalnych uczuć. Więc co? Może pragnie przekonać się, czy i jego chce Beata przestawić za nawias wspomnień — uderzyć zniewagą obojętnego lekceważenia, jak swoją przyjaciółkę? Być może. Czyż nie lepiej skończyć z tem wszystkiem, wykreślić definitywnie z życia wszelkie dociekania, mające związek z jego miłością dla tej kobiety?

Tutaj nad tą maszyną pochylała swą złotą głowę... Jej czarne, przepastne oczy błądziły po tych ścianach i zatrzymywały się na jego twarzy z uśmiechem tak bezgranicznego szczęścia, tak radosnego oddania! Gdyby ta przestrzeń mogła jak ekran wypełnić się obrazami przeszłości! Sceny znikają, ustępując drugim. Wspomnienia biorą się z uśmiechem za ręce i tańczą, upojone radością, że było tak pięknie, tak rozkosznie, a potem żalą się, że musiały zniknąć, odejść w niepamięć na rozkaz splotu okoliczności...

— Brawo! Brawoooo!! — rozbrzmiewały entuzjastyczne okrzyki. Publiczność szalała. Sławna pieśniarka prześcignęła dziś samą siebie. Timbre głosu, każdy uśmiech, wężowy skręt gibkiego ciała, krok każdy i fale białych rąk harmonizowały z żarem piosenki, z melodją i treścią słów. Dłonie ludzi chłodnych z natury i kabotyńskiej pozy, entuzjastów i mizantropów, znawców i laików — wszystkie dawały wyraz swemu zapałowi przeciągłemi, zapamiętałemi oklaskami.

Ryszard spojrzał na lożę przeciwległą. Beata? Nie, to nie jego ukochana dziewczyna, niegdyś różowa lampka jego szarego istnienia! To upozowana dama, nieruchoma i sztuczna, sztywna aż do posągowości. Z nonszalancją klaskała w urękawicznione dłonie, uśmiechając się nieszczerze. „Patrzcie, pospolici ludzie i podziwiajcie mnie!" — zdawały się mówić jej wzniesione brwi, wymalowane jak u lalki powieki. A mąż i „ten trzeci" — dziwny gust w wyborze przyjaciela domu! Wygląda przerażająco! — wpatrywali się jak w obraz cudowny w jej martwą twarz, w jej nieskazitelne ramiona, na które książę narzucał troskliwie okrycie z gronostajów.

Płonącemi oczyma wpatrzył się w Beatę. Nie dbał o to, co pomyślą mąż i jego przyjaciel. Niech zareagują, jeżeli mają ochotę. Czyżby jego Beata z przed roku była już wówczas taką pospolitą gęsią i dopiero mitra książęca ujawniła jej prawdziwy charakter — czy też zawód doznany tak bardzo wpłynął na wewnętrzną jej przemianę?

W tej chwili spoczął na nim przez chwilę jej wzrok martwy, zimny, obojętny. Ryszard ukłonił się. Pomirecki odpowiedział mu niemal uniżonym ukłonem i pochylił się ku Beacie, która skinęła głową ze zdawkowym, szablonowym uśmiechem, jaki miała w zapasie dla wszystkich.

— Nie, to niemożliwe! Jak można wykreślić za jednym zamachem przeszłości tak cudną i pełną szczęścia, świetlany okres przeżywany raz tylko w życiu! A może — może już wówczas był w niej poprostu zaślepiony, a ona maskowała się. Może imponował jej jako szef, bo nie udało się jej jeszcze złowić Pomireckiego? Dlaczego chłoszcze go swą sztucznie wielkopańską obojętnością? Z zemsty? Za co? Był na dancingu z własną żoną — to prawda. Lecz Beata wiedziała, że on nie kocha Ireny. Sama zaś przyszła wtedy ze swoim przyjacielem, którego rolę przedstawiała przed nim tak niewinnie! Wolała tamtemu powierzyć swe kłopoty, bo mu więcej ufała...

Gwałtowna reakcja wstydu i poniżenia wstrząsnęła jego myślami. Dosyć tego tego. Jak mógł poddawać się niższym uczucia, które nie ma ani celu ani przyszłości! Był teraz zły, że przyszedł wogóle do teatru. I słusznie. Postąpił jak mazgajowaty błazen, jak tuzinkowy głupiec!

Nie spojrzał nawet w stronę Pomireckich. Wstał. Opuścił loże i uciekł. Bał się upiorów przeszłości. Jadąc do domu, ułożył plan działania. Trzeba wyjechać i to jak najszybciej.

— To wszystko nerwy — myślał chłodno i zdecydowanie. — Jestem wytrącony z równowagi ostatniemi przejściami i nadmiarem pracy. Przyspieszę wyjazd do Wiednia. Muszę obejrzeć najnowsze typy architektury wnętrz. Poddam się systematycznemu leczeniu u zdolnego specjalisty chorób nerwowych. Wrócę do pracy silny i opanowany. Gdzież moje ambicje osobiste, gdzie godność dojrzałego człowieka czynu, za jakiego się zawsze uważałem!

Powzięte postanowienie uspokoiło Ryszarda znacznie. Początek zwycięstwa nad sobą samym był dokonany.

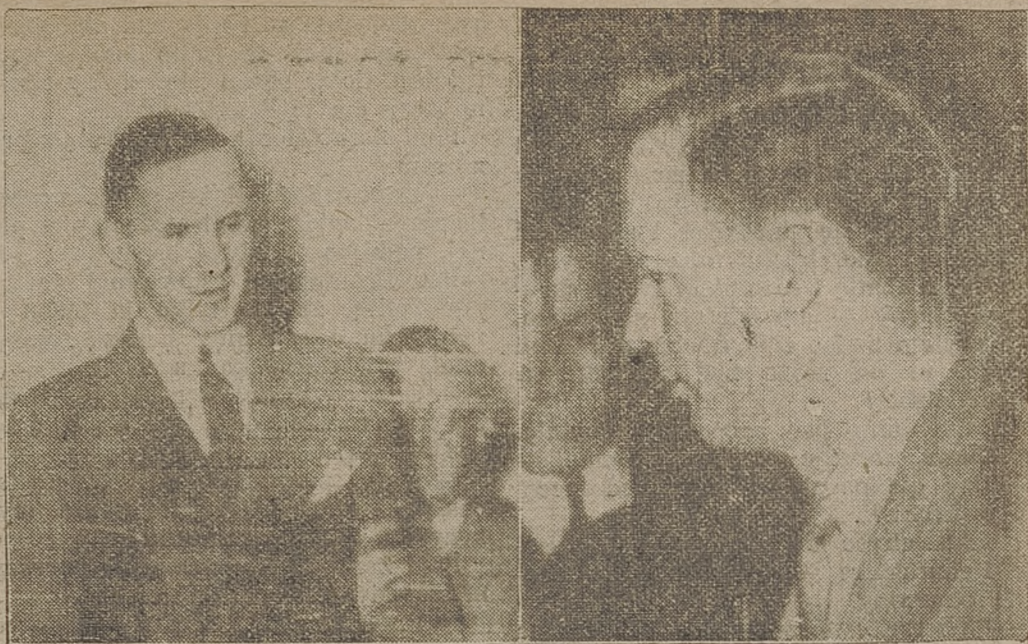
## ROZDZIAŁ XXIV.

### Za bramą przeszłości!

— Panno Leno, proszę wprowadzić następnego pacjenta.

— Słucham, panie profesorze. — Sanitarjuszka wyszła. Prof. Oskar Grause usiadł zmęczony i przymknął powieki, na których osiadła sieć zmarszczek. Tyle histerycznych kobiet, tylu roztrzęsionych neurasteników przesuwało się w ostatnich czasach przez jego gabinet! Musiał poskramiać nierówności ich systemu nerwowego wytężeniem własnej woli i autorytetu. A to przecież męczy i wyczerpuje. Nerwy — nawet dla psychjatry tajemnicze przewody ludzkiej jaźni, po których, jak złośliwe małpki na linie, tańczą wrażenia, refleksje, echa, podniety, wyprawiając przerażające grymasy. Jak wyznać się w tym labiryncie poplątanych dróg ducha? Jak sprostać szybkości nerwowych odruchów? Toczą się przebłyski i iskierki duszy po przewodach nerwowych, znikome i lekkie. Lecz czasem potrafią tak zaciężyć, że aż przerywają i niszczą swe czułe szyny...

Pukanie. Lena wprowadziła wysoką, przystojną kobietę. Wyglądała na zbliżającą się pięćdziesiątkę. Dr. Grause odnotowała skwapliwie i sprawnie.



Pierwsze zdjęcie z procesu o zamordowanie syna Lindbergha, nadeszłe w drodze iskrowej: 1) oskarżony Hauptmann, 2) pułk. Lindbergh.

brał informacje, które jego pomocnica

— Zawód pani?

— Artystka filmowa.

— Pani pracuje?

— Nie, nie pracuję już. Poprostu nikt nie chce mnie angażować, choć przed pięciu laty jeszcze ubiegały się o mnie wszystkie wytwórnie europejskie. Należę już do przeszłości, czego najoczywistszy dowód mam w tem, że moje nazwisko jest panu zupełnie obce — dodała z goryczą.

— Pani wybaczy, ale to żaden dowód — odpowiedział z uśmiechem prof. Grause. — Niema zdaje się drugiego człowieka we Wiedniu, któryby tak mało interesował się sztuką filmową, jak ja! Każdą wolną chwilę poświęcam zupełnemu wypoczynkowi. Zrozumie pani, że gdy spełnia się funkcję aparatu odbiorczego dla tylu zniszczonych duchowych mikrofonów, to —

— Zapewne. Ale pan profesor nie wyobraża sobie, jak dotkliwie cierpię wskutek tego, że zeszłam z filmowego horyzontu. Zdaję sobie z tego sprawę, że muszę oswoić się z tą myślą — że także inni przedemną byli sławni, olśniewali i minęli. Ten sam los czeka tych, którzy przyjdą po mnie. Błagam pana, proszę dać siłę moim nerwom, wpłynąć na mnie sugestją, abym podołała walce ze samą sobą! — zawołała rozpaczliwie.

— To nie takie trudne. Przedewszystkiem jednak musimy wspólnemi siłami — tak ja, jak i pani! — wzmocnić osłabiony system nerwowy. Na zdrowem podłożu zaszczepimy nowe życie jaźni. Przepraszam za pytanie, ale — czy dokuczają pani troski materjalne?

— Nie. Zaoszczędziłam spory kapitalik i mogę myśleć spokojnie o schyłku życia. Byle móc znieść tę myśl, że jeden jego rozdział jest już nieodwołalnie zamknięty. — Zaczerwieniła się. Twarz wezbrała widocznym bólem. Męka walki ze wzburzeniem nie trwała długo. Uległa, wybuchając spazmatycznem łkaniem.

— Widzi pan, profesorze! — mówiła urywanym głosem, wstydząc się swej trzęsioną maszyną bez zdolności do życia i pracy! słabości. — Jestem ruiną człowieka! Rozszeń, prawda?

— No, no, odwagi! — rzekł profesor z niewzruszonym spokojem. — Panno Leno, proszę podać pani szklankę wody z pastylką bromu.

Sanitarjuszka zakrzątnęła się zręcznie. Była widocznie oswojona z tego rodzaju atakami. Podała płaczącej pacjentce wodę, natarła kark i skronie przygotowanym chłodzącym roztworem. Wzburzenie po chwili minęło. Teraz mógł profesor zająć się rzeczowem badaniem. Zadawał krótkie, zwięzłe pytania, opukiwał, zastosowywał szereg przyrządów i aparatów. Jasna twarzyczka Leny, wpatrzona bacznie w oczy szefa, zdawała się być odzwierciadleniem jego myśli i zamierzeń.

Rozległy się dwa kolejne dzwonienia. Lena wstała. Przyszli zapewne nowi pacjenci.

— Panno Leno, proszę zebrać informacje od przybyłych. Przyjmę jeszcze trzy wizyty. Resztę proszę odwołać. Zdaje się, na dzisiaj nie mieliśmy więcej zgłoszeń, prawda?

— Tak jest, panie profesorze. Poza tymi trzema nie mają numerów. Wyznaczę im godziny ordynacyjne na jutro i pojutrze.

— A proszę nie zapomnieć, że i pani ma dzisiaj u mnie swoją turę!

— Panie profesorze, może odłożymy to na kiedyindziej? Pan jest zmęczony...

— O nie, nie mogę pani zaniedbywać. Wstrzymałbym w ten sposób postęp dotychczasowej pracy.

— Lena wyszła. Pacjentka obserwowała ją z podziwem.

— Ma pan przemiłą asystentkę, panie profesorze. Przytem taka śliczna! Dziwnie kojąco działa na nerwy! Czy to też karka?

— Bynajmniej. To także moja pacjentka. Bardzo ciężki wypadek — objaśniał prof. Grause, notując wskazówki. — Nie tracę jednak nadziei, że ją uleczę. Widzi pani — takie przypadłości, jak u pani, są śmieszną drobnostką wobec poważnych urazów psychicznych i umysłowych, jak ten, który przechodzi moja pomocnica.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

# Na łasce

(Powieść) 20)

— Wyrozumiały na twój smutek, zgnębienie? — zawołał książę. — O nie! mylisz się pani! na to żaden kochający mężczyzna wyrozumiałym być nie może. Bo i czegóż się martwić! Pozwól mi dziecko drogie, być z tobą szczerym... jak ojcu. Czuję i rozumiem twoje skrupuły, obawy — ale ich nie podzielam. Co cię ma świat cały obchodzić, jeżeli wiesz, że on może być szczęśliwym przez ciebie?

— Czy nim być może? — spytała; z obawą, zadając księciu pytanie. — — Czy nie pożałuje kiedy, niedorzecznego kroku?...

— A!... chyba nie wierzysz w jego serce i charakter? — zawołał książę prawie oburzony.

— Wierzę... wierzę! — odrzekła Janina szybko, oblana rumieńcem wstydu, na samo przypuszczenie księcia, że ona mogłaby mu niedowierzać, wątpić. — Wierzę — powtórzyła z mocą, — w pana Romana... wierzę, w to co on mówi, i kiedy mówi... ale taka jestem niespokojna... gdy pomyślę o tem wszystkiem...

Łagodnie, z dobrocią, jak ojciec prawdziwy, uspakajał książę skrupuły młodej dziewczyny, słowa jego zbawienny wpływ wywarły na jej umysł, pogrążony w zwątpieniu.

Gdy w parę godzin potem Janina znalazła się w towarzystwie, nie widać już było na jej twarzy pomieszania ani przymusu. Była poważna, często milcząca, ale nie smutna.

Mieszało ją tylko, gdy pan Bronimirski do niej przemawiał, a czynił to często, z widocznem upodobaniem. Każdy kto chciał to widzieć, musiał zauważyć, że Janina bardzo dobre wrażenie uczyniła na nim. Roman promieniał z zadowolenia... Natalja uśmiechała się ironicznie, a pani Żarnowiecka usta zagryzała, starając się nie przywiązywać najmniejszej do tego wagi. Jednak, nadeszła chwila, w której hrabina także musiała przyznać, że osoba młodej sieroty, tak mało znacząca dotychczas w jej domu, tutaj wobec starego Bronimirskiego, nią być przestała.

Kiedyś po kilku dniach pobytu pań w Wasilcach, pan Bronimirski zatoczył swoje krzesło na północną werandę i wraz z hrabiną przypatrywał się młodzieży, grającej na trawniku w lawn tennis.

Długi czas rozmawiali o dawnych czasach i wspólnych znajomych, a potem stary zagadnął:

— Jaka miła twoja wychowanka, kuzynko, zaszczyt ci robi... czy dawno nią się opiekujesz?

Pani Żarnowiecka uczyniła ruch oznaczający zniecierpliwienie.

— Janina Strzelicka bawi u mnie od trzech lat, — odrzekła. — Wyznaję otwarcie, iż zaszczyt jej wychowania nie spada na mnie... uczyła się na pensji, u ludzi obcych... Musiałam ją przygarnąć do domu, sierotę, nie posiadającą ani krewnych, ani majątku...

— Bardzo pięknie z twojej strony, kuzynko, — rzekł pan Bronimirski, zdając się nie zważać na ton oschły z jakim się wyrażała. — Musi panna Janina być wdzięczną za twoją nad nią opiekę; widzę po niej, że jest to istota słodka i dobra. Co za śliczne, łagodne a rozumne oczy ma ta dziewczyna!

Pani Żarnowiecka zaśmiała się z przymusem.

— Doprawdy? ej! kuzynie!... pozostaliśmy jak widzę admiratorem płci pięknej, pomimo tej siwej brody!

Pan Bronimirski uśmiechnął się.

— Sądzę, że nie tylko ja jeden zauważyłem oczy panny Janiny; zapewne miała już jakiego konkurenta?

— Ona? — zawołała hrabina, nie kryjąc zadziwienia. — A któż się dziś żeni bez posagu?

— Hm!... przypuszczam, żeby się tacy znaleźli... No, jakże więc? nie myśli kuzynka wydać jej za mąż?

Pani Żarnowiecka znowu się poruszyła niecierpliwie.

— Przyznam się... żem o tem dotychczas nie myślała! — wyznała otwarcie z niechęcią. — Zresztą, kuzyn wie zapewne kto jest Janina... kto był jej matką... panna Kinowska dość mi krwi napsuła, wychodząc wbrew mojej woli za mego brata... Po jego śmierci wyszła powtórnie za mąż i zostawiła mi w spadku córkę... Nie może chyba kuzyn brać mi za złe, że nie jestem wstanie przepadać za tą małą.... Il y a des choses que l'on ne peut ni oublier, ni pardonner...

Pan Bronimirski zamyślił się na chwilę.

— Jestem pewny, — rzekł w końcu poważnie, że pani inaczej myśli w głębi duszy... Zapomnieć i przebaczyć można największe krzywdy... a cóż dopiero tym — którzy już nie żyją...

Pani Żarnowiecka wyglądała trochę pomięszana.

— No, tak! uniosłam się nadto... prawda! — tłomaczyła się. — Próbowałam przecież zbliżyć się do bratowej — to jest... ofiarowałam się z pomocą w wychowaniu synka po zmarłym Feliksie... no!... odrzucano moją ofiarę!...

— Widziałem raz tylko w życiu bratową kuzynki, — ale już jako panią Strzelicką, — mówił pan Bronimirski, nie odpowiadając wprost na słowa hrabiny. — Wydała mi się bardzo miła, niesłychanie dobra i pełna szlachetnych uczuć... Wyszła powtórnie za mąż za poczciwego człowieka, który ją kochał gorąco, wyszła dlatego tylko, że zacny ten człowiek nie chciał jej dać zginąć... z nędzy, biednej wdowie z dzieckiem... nie posiadającej żadnego utrzymania. Wyznała mu otwarcie, że miłość jej poszła do grobu za Feliksem — to go nie zraziło. Był dla niej najlepszym mężem i opiekunem jej dziecka...

— Pięknie nim pokierował, — zawołała z oburzeniem hrabina. — Za jego wiedzą, namową... mój siestrzeniec został — lekarzem!

— Czy mu się źle powodzi? — spytał poważnie pan Bronimirski. — Czy żałuje, że poszedł tą drogą, narzeka może?

— Nie! — odrzekła pani Żarnowiecka z ironicznym uśmiechem. — Jest zachwycony swoim zawodem... — zarabia pieniądze! — dodała z goryczą.

— Bardzo pięknie! więc dla czego kuzynka z takim żalem się wyrażasz?

— Jakto? więc kuzyn tego nie rozumie, jak mi musi być przyjemnie, że jest jeden Umiński, który zapisuje proszki, mikstury, ludziom puls liczy — i bierze za to pieniądze w łapę... jak lokaj!...

Pan Bronimirski uśmiechnął się z lekka i potrząsał głową.

— Jak to widać, — rzekł, — że kuzynka zasiedziała się w Żarnkach!... Tam gdzie ja przez lat kilka żyłem — w Paryżu, Londynie — tam zupełnie inaczej na podobne sprawy się zapatrują. Minęły te czasy, droga pani, kiedy szlachcic polski siedział na zagrodzie, choćby najmniejszej uważając się za pana... pilnując roli, lub trzymał się klamki braci magnatów, wysługując się wiernie jak pies... zależny od ich łaski... a co właśnie według mnie upokarzało człowieka. Dziś, roli mamy nie wiele, magnaci prawie zaginęli. Ludzie doszli do przekonania, że najprędszym środkiem dojścia do znaczenia i majątku, jest nauka.... Uczą się więc mali i wielcy, nie wstydzą się tego, współubiegając się w pracy, że ona nikogo nie hańbi. A jakie właściwie kuzynka miała zamiary, co do przyszłości siostrzeńca?

— Jakie zamiary?... to rzecz całkiem prosta i powiem kuzynowi otwarcie. Zdaje mi się, że Kazimierz nie mógłby nawet wymagać więcej odemnie. Pragnęłam szczerze ożenić go z Kamilką i oddać im Żarnki...

— Hm... hm... — mruknął pan Bronimirski, — a czy pani pytała czy on miałby ochotę do gospodarstwa?

— Każdy szlachcic polski jest po trochu gospodarzem... leży to we krwi, płynie z tradycji...

— Bardzo subtelne zdanie...

— Zresztą, nie zmuszałabym go przecie... — robiłby co by mu się podobało. Mój rządca bardzo sumienny człowiek, mógłby go zatrzymać. No, ale nie ma o czem mówić... Dziś już wszystko przepadło; Kamilka rozrządziła sobą... Il y avait même un commencement d'amourette, między niemi — potrafiłam temu koniec położyć...

Pan Bronimirski nie pytał o szczegóły; przykro mu było dowiadywać się takich rzeczy. Znał od dawna żonę swego krewnego, z którą ten ostatni ożenił się, nie biorąc z nią ani grosza posagu; ale panna Umińska, zostawszy hrabiną, odrazu stała się zagorzałą arystokratką... Pan Bronimirski zawsze wywijał się zręcznie od dysputowania z nią na ten temat; nie mogli nigdy dojść do wzajemnego porozumienia. On, arystokratyczne zapatrywania i dążenia hrabiny nazywał rodzajem aberacji umysłowej, ona znów zwała go magnatem demokratą i przewróconą głową...

XIV.

Spokojnie, ale nie jednostajnie, upływał gościom czas w Wasilcach. Roman znakomitym był gospodarzem, umiał umilać każdą chwilę, wynajdując coraz to nowe rozrywki. Jednego dnia robiono wycieczkę do lasu, drugiego na rzece; urządzano podwieczorki na murawie, jeżdżono konno, a parę razy nawet tańczono w małym kółku. Sąsiedztwa nie było dużo, tak jak w Żarnkach, bo klucz Wasilecki ogromny obszar zajmował wokoło głównej rezydencji; były jednak

trzy czy cztery domy, z któremi panowie Bronimirscy stosunki odnowili. Znalazło się nawet kilku młodzieńców — dla rozrywki Natalji, która rozgoryczona na Romana, nudzić się zaczynała.

Pani Żarnowieckiej było bardzo dobrze w Wasilcach; miała wygody jak w domu, a kłopotów żadnych, dogadzano jej, uprzedzano życzeniami, grała rolę pierwszej osoby w towarzystwie, do której wszystko się odnosiło i wszystko zależało.

Ale na pogodnym horyzoncie błąkały się lekkie chmurki, które mniej lub więcej zaćmiewały błogą egzystencję. Pierwszą z nich i najciemniejszą, była konieczność wyrzeczenia się nadziei, posiadania Wasilec dla Kamilli. Hrabina od niedawna, od chwili, gdy pan Bronimirski niebacznie uczynił propozycję, żeby młodzi poznali się z sobą, uczepiła się myśli pobrania Kamilli z Romanem i trzymała się jej z właściwym sobie uporem, gdy nagle Kamilla szyki jej popsuła... Żal i gniew ją porywał, gdy patrzała na dostatki, na pańską zamożność tego domu!

Z kim Roman się ożeni? kto otrzyma to wszystko? a może się nie ożeni... w takim razie, Kamilla należy do najbliższej rodziny... Och, gdyby się tak stało! Właściwie, na co jemu się żenić? ma już blisko trzydzieści lat — a może więcej — lubi niezależność, podróże... do kobiet się nie garnie... Rzeczywiście, to bardzo prawdopodobne, że zostanie starym kawalerem.

Pocieszała się jak mogła tą błogą myślą, irytując się z drugiej strony z powodu Janiny.

Nie było wątpliwości, że młoda dziewczyna bardzo się zmieniła od czasu przyjazdu do Wasilec; co było powodem tej zmiany? hrabina naprożno siliła się odgadnąć... Ta cicha, potulna, nic nie znacząca sierota, stała się tutaj poważną, odzywającą się wprawdzie rzadko, ale zawsze w porę, uważając się za zupełnie równą wszystkim tutaj obecnym... Zawróciło jej się w głowie! stanowczo się zawróciło!... Piękna będzie z nią robota, gdy wrócą do Żarnek i panna zechce grać pierwszą rolę w salonie!... Pani Żarnowiecka byłaby z chęcią scenę zrobiła swojej wychowance, ale niestety, musiała przyznać w duchu, że do tej sceny nic ją w postępowaniu Janiny nie upoważniało... i to ją gorzej jeszcze irytowało.

Janina czuła wybornie tę irytację, starała się unikać zetknięcia z hrabiną i nie narażała się na żadną z nią rozmowę, ale żal wielki ściskał jej serce...

Tydzień już upłynął od przyjazdu pań. Hrabina zaczynała mówić o powrocie. Rodzice Stanisława obiecywali swój przyjazd do Żarnek, w przejeździe z Karlsbadu; pani Żarnowiecka musiała się przygotować na ich przyjęcie; uproszona jednak przez kuzyna i zapewniona przez Stanisława, że przyjazd jego rodziców nie nastąpi aż za jakie dwa tygodnie, hrabina obiecała pozostać jeszcze parę dni w Wasilcach.

Panie poszły kąpać się w rzece, pewnego poranku, tylko Janina pozostała w pałacu, ponieważ kąpała się zwykle bardzo wcześnie.



**Gandhi, który zamierzał wycofać się z życia politycznego, jak się obecnie okazuje, po dłuższej przerwie postanowił znów do niego powrócić. W ostatnich czasach podjął podróż propagandową, podczas której wygłosił szereg przemówień o nietykalności Indyj. Zdjęcie naszed przedstawia jego (w środku) przbycie do Delhi, podczas którego tysiące jego zwolenników wyszło na jego spotkanie.**

Postanowiła sobie, korzystając z wolnej chwili, zwiedzić ogromną cieplarnię, której dokładnie nie znała. Cieplarnia imponowała jej swoim ogromem i urządzeniem, kwiatów teraz w lecie nie było tam wiele, bo wyniesiono je, prócz rzadkich okazów do ogrodu, ale znajdowały się aleje olbrzymich palm, kaktusów, rododendronów, cyprysów, drzew pomarańczowych, cytrynowych i figowych, warte widzenia. Cieplarnia, oszklona ze wszystkich stron, wyglądała jak olbrzymia hala, z wysypanemi drobnym piaskiem ścieżkami, z fontannami i basenami wyłożonemi marmurami. Cisza panowała tutaj i woń gorąca, wilgotna, jak pod równikową strefą, ojczyzną roślin i krzewów tutaj przechowanych.

Janina przechadzała się zwolna, gubiąc się w labiryncie ścieżek, zatrzymując się co chwila i patrząc z lubością na cudowne okazy, zachwycając się i dziwiąc.

Nagle na zakręcie ścieżki spostrzegła Romana, który śpieszył ku niej z wyciągniętemi rękami, z uśmiechem szczęścia na rozchylonych ustach.

— Moja pani zwiedza swoje królestwo!... — zawołał, — o, jakże mi się pięknym teraz ten zakątek wydaje, kiedy raczyłaś zaszczycić go swoją obecnością...

Mówiąc to zbliżał się, ujął obie jej ręce i przyciągał ku sobie...

Nie wyciągała rąk swoich, ale oparła się zlekka, gdy ją chciał przyciągnąć i rumieńcem okryta spuściła głowę.

Roman zwolnił nieco jej ręce z uścisku i twarz mu posmutniała.

— Nie chcesz mi dać najmniejszego dowodu twojej miłości... — rzekł z wyrzutem. — Narzeczonemu przecież wolno, choć raz jeden dotknąć ustami czoła narzeczonej...

Podniosła zwolna głowę i spojrzała na niego poważnie.

— Wolno? — rzekła. — Ja o tem nie wiem... a czego nie jestem pewną, tego czynić nie mogę...

Jemu oczy nagle zabłysły; przykląkł na jedno kolano i ręce jej ze czcią do ust tulił.

— Aniele mój... — szeptał.

W tej chwili posłyszano ruch jakiś i zgrzyt piasku.

— Powstań pan! — zawołała Janina przerażona.

Roman powstał, ale bynajmniej nie przelękniony.

— Nie poznajesz, najdroższa, kto się zbliża? — rzekł z uśmiechem i nie puszczając jej ręki, obrócił się, żeby pójść naprzód, gdy z poza klombu palm ukazał się wózek, kierowany ręką pana Bronimirskiego.

Wózek się zatrzymał i stary pan Bronimirski z rzewnym wyrazem twarzy, wyciągnął ręce do nadchodzących. Janina, nagłym instynktem tknięta, przeczuła, że nadeszła chwila, w której dziwna jej sytuacja wyjaśnioną być miała; nieśmiała, drżąca przypadła do rąk starca i pochylając się nisko do ust je przycisnęła... Stary objął ją za głowę.

— Wybrana i ukochana przez mego syna, bądź córką dla mnie!... — rzekł poprostu.

Pan Bronimirski, pełen taktu i dobroci, spokojnie i z prostotą przemawiał do Janiny, nie chcąc roztkliwiać dziewczęcia, ale będąc z natury żartobliwego i wesołego usposobienia obmyślił sobie niewinny figiel ku własnemu rozweseleniu. Figiel polegał na tem, żeby niespodzianie oznajmić całemu zgromadzeniu o projektowanym związku syna.

Pan Bronimirski znał dobrze, a właściwie przeczuwał usposobienie hrabiny dla młodej sieroty, niechęć i usiłowanie

poniżania jej na każdym kroku i cieszył się naprzód, myśląc o niemiłem wrażeniu, jakiego dozna pani Żarnowiecka, dowiedziawszy się o związku Janiny z Romanem.

Tego dnia, gdy obiad się kończył, pan Bronimirski kazał podać szampana i podczas gdy wszyscy spoglądali po sobie, zadziwieni tą niezwykłością, on podniósł pieniący kieliszek w górę i rzekł głosem donośnym:

— Pozwólcie mi państwo wznieść zdrowie młodej, nowo zaręczonej pary... Niech żyje Roman i Janina!

Hrabina osłupiała; ręka wyciągnięta po kieliszek opadła na stół... Natalja ironicznie się uśmiechała. Reszta osób w serdeczny sposób zaczęła wyrażać życzenia, — w sposób — budzący podejrzenie, że wiadomość ta nie była dla nich nowiną... Tak! spojrzawszy po obecnych, hrabina łatwo odgadła, że prócz niej i Natalji, wszyscy dawno musieli być powiadomieni, wszyscy ją oszukiwali... zadrwili sobie z niej!... Duma jej jednak nie dozwoliła przyznać się do tego.

— Bardzo pięknie!... — wyrzekła przez zaciśnięte zęby, a zwracając się do starego kuzyna: — Je vous félicite..: — rzekła, — vous autorisez une belle folie!

Dla Janiny i Romana nie miała ani słowa.

Obiad się skończył; pierwsza hrabina dała znak do powstawania od stołu.

— Kochany kuzynek urządził sobie mały melodramacik... — rzekła w oburzeniu do pani Natalji, wiedząc, że w niej znajdzie powolną słuchaczkę swoich utyskiwań.

Ale tym razem się omyliła. Natalja wcale słuchać nie chciała, tylko skarżąc się na dokuczliwy ból głowy, odeszła do siebie. Musiała odejść! czuła, że nie wytrzyma dłużej. Cios spadł tak niespodziewanie, tak stanowczo i nieodwołalnie, że Natalja miała uczucie jakby nagle grunt jej się z pod nóg usuwał... poszła jak oszołomiona na górę; — poszła szukać w samotności równowagi, którą zupełnie utraciła.

Co miała robić? jak postąpić?... inna na jej miejscu byłaby wyjechała natychmiast, szukać po świecie innych wrażeń, zapomnienia, a choćby tylko oszołomienia. Dla Natalji ten środek był nadto powszedni, niedostateczny... w jej oczach, znaczyłoby to przyznać się do porażki, dać za wygranę... Nie! trzeba było grać dalej komedję obojętności, dobrego humoru, wytrwać odważnie na stanowisku lub... zemścić się! Och! gdyby mogła!... Tak! zostanie tutaj, w Wasilcach, a potem w Żarnkach, jak się uda najdłużej, nie opuści żadnej sposobności i może znajdzie coś, co jej zemstę nasyci... Och! gdyby jej się udało zobaczyć Janinę upokorzoną, zawiedzioną w nadziejach, a Romana przygnębionego nieszczęściem... Żadnej litości w sercu nie czuła dla tych dwojga; demon złego opanował całą jej istotę, tłumiąc wszystkie szlachetne uczucia; obecnie gotową była na wszystko, byle pomścić obrażoną miłość własną. I nie tylko miłość własna została obrażoną... Natalja czuła się pognębioną we wszystkich uczuciach; duma jej, godność kobieca, bezinteresowne uczucie, gorące i prawdziwe, skrucha nawet — której się dziś wstydziła, — wszystko zostało zdeptane, sponiewierane przez tę dziewczynę, która najmniej miała prawa wchodzić jej w drogę. Taka Janina, sierota na łasce, parjas społeczeństwa!... ona zwycięstwo odniosła nad panią Natalją Wieluńską, królową salonów!... co za ironja losu!

Jak ptak świeżo złowiony i zamknięty w ciasnej klatce, Natalja miotała się w czterech ścianach swego pokoju, bez odpoczynku, nie przysiadając; biegała jak szalona, chwytając się za głowę, potykając o meble, stając tylko od czasu do czasu w otwartem oknie, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Podniecała się więcej jeszcze, zamiast starać się uspokoić. Wywoływała wyobraźnią obrazy przeszłości; widziała przed sobą Romana w pokornej, błagalnej postawie, z rozpłomienionym wzrokiem wpatrującego się w nią z miłością; słyszała namiętne wyrazy, jakiemi do niej dawniej przemawiał... Straciła... straciła wszystko, niepowrotnie...

Słońce zapadło za drzewa, wieczór się robił. Mrok rozpościerający się w pokoju oprzytomnił Natalję; za długo pozostawała na górze... co tam sobie pomyślą? Ha! czyż oni spostrzegą jej nieobecność? Roman otwarcie już okazuje miłość swoją Janinie, a ona rozpromieniona, szczęśliwa...

Natalja się wstrząsnęła nerwowo. Nie namyślając się dłużej, zapaliła świece przed lustrem i zabrała się do uporządkowania tualety, zacierając ślady wzruszenia na twarzy.

Świeża, uśmiechnięta, swobodna, ukazała się wkrótce na dole, w małym saloniku, gdzie zwykle wieczorem goście Wasilec się gromadzili. Na troskliwe pytania odpowiadała z uśmiechem: głowa ją bolała, — zażyła antipirynę — teraz już zupełnie dobrze... żałuje, że na tak długo musiała opuścić miłe towarzystwo, ale położyła się i — wyznaje ze wstydem, że zaspała...

Pani Żarnowiecka, pełna obrażonej godności siedziała sztywno, milcząca, ciągnąc pasjans za pasjansem. W młodem kółku panowała niczem nie zamącona wesołość. Janina tylko poważna była bardzo, pomimo wysiłków Romana, który jej nie odstępował teraz wcale, wesół, promieniejący, szczęśliwy...

Pan Bronimirski prosił Janinę, żeby grała na fortepianie, usiadł obok niej i słuchał uważnie w skupieniu. Pierwszy raz dopiero Janina grała w Wasilcach, ale i to irytowało hrabinę.

— Elle fait valoir ses talents... — szepnęła do Natalji. — Nic dziwnego, jedyny jej posag...

Natalja nie odpowiedziała, tylko ironicznie, z pod przymrużonych powiek patrzyła na grupę przy fortepianie: Janinę, pana Bronimirskiego, nachylonego nad nią i Romana, stojącego za ojcem we framudze okna, wpatrzonego w narzeczoną.

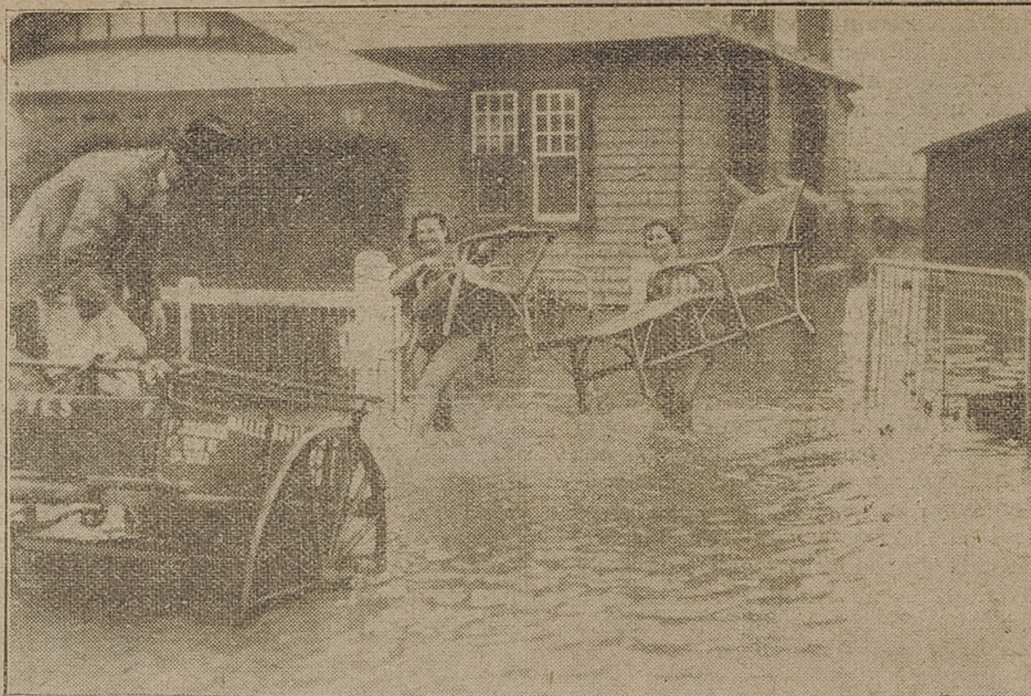
Kiedy Janina skończyła, Natalja podbiegła ku niej i wyciągając rękę:

— Nigdy jeszcze pani tak pięknie nie grała! — rzekła siląc się na uprzejmość. — Usposobienie wewnętrzne wpływa zwykle dodatnio na wyrażenie myśli i uczuć choćby w muzyce...

Zakłopotały Janinę te słowa i nagła czułość pani Natalji; myślała, co by jej odpowiedzieć, ale Natalja nie dała jej na to czasu, zagadując coś do starego pana Bronimirskiego. Potem, z całą swobodą przemówiła do Romana, zalotnie patrząc mu w oczy i uśmiechając się mile; grała swoją rolę znakomicie, nawet Roman, znający ją tak dobrze, nie przeczuwał, ile wysiłku ją kosztowała ta komedja...

Pan Bronimirski tymczasem obmyślił sobie nową rozrywkę, dalszy ciąg „melodramatu“ ku wielkiej irytacji hrabiny. Zawoławszy zaufanego starego kamerdynera, szepnął mu coś na ucho i za chwilę wniesiono do pokoju mahoniową staroświecką szkatułkę, srebrem wykładaną, którą postawiono na stole przed starym panem.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)



Ulewne deszcze w Australji spowodowały wielką powódź. Na zdjęciu widzimy panie domu, które starają się swój dobytek przewieźć na bezpieczne miejsce.

# Kraina szczerości i naszych trosk

*Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu*

## Dobre rady p. Zofji

### SYMPATYKOM „KRAINY SZCZEROŚCI" DO WIADOMOŚCI

Wszystkich, którzy nie otrzymali dotąd odpowiedzi na listy, przepraszam za zwłokę i informuję, że wszyscy bez wyjątku otrzymają w najbliższych numerach odpowiedź. Cierpliwości więc trochę, Drodzy Sympatycy! P. Zofja o Was wszystkich pamięta i nikogo nie pominie, gdyż tylko ze względu na nawał korespondencji i stosunkowo małe ramy „Krainy", nie jest w możności dawać szybkich odpowiedzi.

### MŁODOŚCI MEJ...

Ach, nie marzeń mi jest żal,<br>
Ani wspomnień już zgaszonych,<br>
Lecz młodości mojej żal,<br>
Dni jej dla mnie już straconych.

Marzeń ścieg naniżę nowy,<br>
Wspomnień cichych pieśń zanucę,<br>
Lecz młodości czas tęczowy,<br>
Wiem, o wiem, że już nie wróci.

*Marja Zemmlerówna.*

### Z DNIA NA DZIEŃ SIĘ POWIĘKSZA...

*„Amor II."* Szanowny Panie! „Rodzina" nasza z dnia na dzień się powiększa. Setki liścików piętrzą się na stołach redakcji, a wszystkie spragnione przyjaźni i ciepłych uczuć. Biorę te wszystkie małe i duże arkusiki, czytam wzruszona, a potem, po każdym przeczytanym liściku nasze grono powiększa się o jedną osobę. Niema już chyba w Polsce zakątka, gdzie nie byłoby członka naszej „Rodzinki", lub czytelnika pism naszego wydawnictwa.

Wiersze oddaję Wujkowi Januszowi do oceny, do „Krainy" oczywiście Pana przyjmuję i zamieszczam krótki urywek z listu:

„Celem korespondowania z Czytelnikami, proszę o łaskawe przedstawienie mnie. Mam lat 21 i jestem ciemno-blondynem, z wąsikiem a la Adolf Menjou, wzrostu średniego. Oczy niebieskie — spojrzenie zabójcze, specjalnie dla pięknych blondynek."

### Z TRUDEM, ALE PRZECZYTAŁAM

*„Herszt."* List Pana przeczytałam z mozołem, bo był trochę nieczytelnie napisany, ale zrozumiałam mniejwięcej o co chodzi. A więc o korespondencję, jak tylu innym! Która z Sympatyczek zechce rozjaśnić życie młodemu właścicielowi małego folwarczku, niech napisze liścik do Niego i prześle na moje ręce.

### WYSTARCZY UMIESZCZENIE LIŚCIKU...

*„Czarna Koteczka"* — pisze: „Pracuję w jednym, większym majątku na Pomorzu. Okolice tutaj przecudne. Mieszkam na wysokiej górze, otoczonej ślicznemi parowami, w dodatku niedaleko ruin zamku pokrzyżackiego. Żebyś „Matuchno" widziała, jak u nas pięknie, szczególnie w lecie, gdy wszystko zielone, albo w zimie, gdy drzewa pokryte szronem. Zdaje mi się, wtenczas, że żyję w jakiejś bajce. W lecie przyjeżdża do nas dużo wycieczek, więc jest wesoło, zato w zimie okropnie smutno. Nie mam tu żadnego towarzystwa, wszyscy moi współpracownicy to ludzie starsi. Trudno jednak, trzeba się z losem pogodzić i mieć nadzieję lepszego jutra. Jedyną rozrywką moją, to korespondencja ze znajomymi i radjo. Korespondencja jednak często zawodzi, dlatego mam prośbę do „Mateczki", aby szepnęła któremu z dzieciaków, aby napisali do swej, nowej „siostrzyczki".

Kochana „Koteczko"! Wystarczy umieszczenie wyjątku z Twego miłego liściku. Sądzę, że echo będzie należyte, o tem mi zresztą Pani doniesie, prawda?

### PROSZĘ O PRZESŁANIE PSEUDONIMU!

*P. St. R. — Sadlno.* Szanowny Panie! Dłuższą odpowiedź dam po otrzymaniu od Pana pseudonimu, gdyż ja, ze zrozumiałych powodów nie mogę nadawać. Serdecznie pozdrawiam!

### NAWET WTEDY, GDY BĘDZIE PANI WESOŁO...

*„Kornatowianka."* Samotna, 23-letnia Pomorzanka, średniego wzrostu o bujnych włosach i niebieskich oczach, pędzi ciche życie w małej wiosce. Gorąco pragnie nawiązać korespondencję z Sympatykami „Krainy".

Droga Pani! W dniach szarych i nudnych proszę pamiętać o mnie, a nawet wtedy, gdy będzie Pani wesoło i dobrze.

### MUSZĘ SIĘ PRZEDSTAWIĆ...

*„Anetka."* List Pani sprawił mi radość, a ponieważ jest miły, oddaję go do druku:

„Szanowna Pani Zosiu!... Od niedawna dostałam do rąk moich, tą rozkoszną gazetkę pod tytułem „Moje Powieści", bardzo miłą i kochaną, tak, że odrazu ją szalenie polubiłam. Nie mogę doczekać się dnia nadejścia, aby jak najprędzej ją przeczytać. Ach żeby tak wychodziła codziennie z druku!... Zainteresował mnie bardzo dział „Kraina szczerości i naszych trosk". Sądzę, że Droga i Kochana Pani Zosia chętnie przyłączy „wiochnę" do swego grona, a będę Pani za to bardzo wdzięczną. A teraz do dzieła. Muszę się przedstawić. Jestem 20-letnią szatynką, o oczach podobno pięknych, mówią, że jestem milutką, przystojną, wesołą i t. d. Lubię śpiew, muzykę, taniec i marzyć. Lubię i kocham las i jego cuda. Mieszkam w wiosce, w odosobnieniu w pow. bydgoskim. Chociaż mam wszystkiego pod dostatkiem, brak mi miłego towarzystwa. Wobec tego pragnę nawiązać tak miłą dla mnie korespondencję z Czytelnikiem „M. P.". A więc Drodzy Sympatycy piszcie proszę, a ja chętnie odpowiem. Przesyłam milutkie pozdrowienia i moc całusów.

*„Anetka."*

### JESTEM BARDZO ZADOWOLONA

*„Złota Elżunia."* Jestem bardzo zadowolona, że Pani po tylu, tylu miesiącach znowu do mnie napisała. Mało się dowiedziałam o poważnej chorobie, więc może w następnym liście dowiem się o wszystkiem? Przykra to rzecz, bezwątpienia, chorować tak długo. Żal mi bardzo mej córeczki, więc apeluję gorąco do „Merkurego" i p. „Darz-Bór", by pogodnemi liścikami opromienili smutne dni rekonwalescencji „Złotej Elżuni." Najdroższa! co było w mej mocy, jak słusznie nadmieniasz w liście, zrobiłam. Reszta będzie zależała od zbiegu okoliczności. Chyba napisze mi znowu coś o sobie „Kochana Córeczka"?

### MOŻEBY P. „MUSZKA", A MOŻE „RYSIEŃKA"?...

*„Zimny Drań II".* Krótki wyjątek z listu Pana umieszczam poniżej, bo sądzę, że najlepiej załatwi życzenia Pana:

„Kochana Pani Zosiu, chciałbym bardzo należeć do Pani „Rodzinki", proszę więc bardzo o przyjęcie mnie i przedstawienie swojej „Rodzince."

Jestem blondynem, dość wysokim, bo aż 175 cm, mam niebieskie oczy, i tyle o sobie. Chciałbym za pośrednictwem Pani korespondować i poznać bardzo miłą i sympatyczną Czytelniczkę, z którą mógłbym korespondować na wszystkie tematy nie banalne, ale szczere i otwarte, bo lubię szczerość i sam jestem szczery. Panno Zosiu! proszę więc jeszcze raz bardzo o przyjęcie mnie do swej „Rodzinki". Możeby tak p. „Muszka" lub „Rysieńka z Bydgoszczy" do mnie napisały?

### ODPOWIEDŹ OTRZYMA KAŻDY, ALE... MUSI SIĘ UZBROIĆ W CIERPLIWOŚĆ...

*„Smutna Oleńka."* Kochana „Córeczko"! „Kraina szczerości" posiada nietylko setki, ale tysiące Sympatyków. Codziennie do naszej redakcji wpływają stosy listów i dlatego nieraz długo trzeba czekać, nim zostanie wydrukowana odpowiedź. Każdy jednak, kto uzbroi się w cierpliwość doczeka się, choćby krótkiej odpowiedzi. Nie miej mi więc, Droga Oleńko zbyt długiej zwłoki w odpowiedzi za złe. Korespondować z Tobą, będzie mi bardzo miło, ale może zdecydujesz się oprócz tego nawiązać wymianę myśli z jakąś sympatyczną Czytelniczką lub Czytelnikiem. O postanowieniu chyba mi napiszesz? Czekam więc i łączę pozdrowienia oraz uściski.

### POZDROWIENIA DLA GIOVANI'EGO!

*„Smutna Kropelka z nad Brdy".* Pocztówkę otrzymałam. Odpowiedź na list była w nr. świątecznym. Pozdrowienia dla „Giovani'ego" załączam. Kto wie, czy On właśnie pierwszy nie napisze do Pani i w ten sposób sprawa rozstrzygnie się jaknajlepiej.

### PROSZĘ O ADRES!

*„Kajt."* Proszę Pana o nadesłanie adresu do redakcji, gdyż w tych dniach otrzymałam dla Pana list.

### WYTRWAŁOŚĆ ZAWSZE POPŁACA

*„Amazonka".* Wytrwałość zawsze popłaca! Najlepszy dowód, że i na Panią przyszła kolej. Liściku nie daję do druku, bo jest bardzo długi, ale przedstawię Panią mojej „Rodzince".

„Amazonka" to wysoka brunetka, o czarnych jak noc oczach i śniadej cerze. Porzuciła miasto i jego gwar i „uciekła" na wieś do krewnych, gdzie ma zamiar pozostać przez całą zimę. Tutaj jest bardzo zadowolona. Uprawia sport, a przedewszystkiem jazdę konną, a w wolnych chwilach czyta „Moje Powieści". „Amazonka" zainteresowała się „Losiem". Myślę więc, że „Loś" napisze do Niej liścik i prześle na moje ręce, a ja zkolei, po otrzymaniu adresu przekażę go „Amazonce". (Proszę o adres.).

### APEL DO CZYTELNIKÓW OKOLIC GRUDZIĄDZA, CHEŁMNA I TORUNIA

*„Małopolanka" i „Wesoły Łobuz".* Zaliczyć Panie do naszej „Rodzinki", jest mi bardzo miło. Równocześnie przedstawiam Sympatykom „Krainy", dwie siostry, Małopolanki, mieszkające obecnie na Pomorzu. Pragną nawiązać rzeczową korespondencję z inteligentnymi i muzykalnymi Panami.

„Małopolanka" to 25-letnia szatynka o niebieskich oczach, wesołego usposobienia, lubiąca muzykę, śpiew i taniec. „Wesoły Łobuz" to znowu marzycielka o ciemnych włosach, kameleonowych oczach, muzykalna i pracowita.

Obydwie zasyłają pozdrowienia „Merkuremu", „Bydgoszczaninowi" i „Darz-Borowi" i apelują do Czytelników okolic Grudziądza, Chełmna i Torunia, by zechcieli przesłać na moje ręce listy, w celu nawiązania korespondencji.

Po załatwieniu wszystkich życzeń pozdrawiam Panie serdecznie i proszę o adres.

### BYŁO MI BARDZO MIŁO, WIĘC DZIĘKUJĘ

*„Quercus."* Dzisiaj daję Panu odpowiedź na list z 24 listopada ub. r. Za wiersz „Spojrzyj na słońce" bardzo dziękuję. Schowałam go sobie na pamiątkę. Mylił się Pan, twierdząc, że się obraziłam, przeciwnie było mi bardzo miło, bo zawsze, choć najmniejszy odruch sympatji, ze strony naszych Czytelników, cieszy mnie ogromnie. Proszę, niech Pan zawsze śmiało i szczerze zwraca się do mnie. Łączę serdeczne pozdrowienia!

### POZDROWIENIE DLA „ZEFI"

*„Wiking I."* List otrzymałam. Odpowiedź od „Milutkiej", mam wrażenie, Pan otrzyma. Pozdrawiam w imieniu Pana „Zefi."

### DO WIADOMOŚCI OGÓŁU:

*„Amerykanka".* Ma Pani rację, podwoje „Krainy Szczerości" są bardzo gościnne. Chętnie się uchylają, by przyjąć w swoje progi wesołe i smutne zastępy Sympatyków i Czytelników.

A teraz króciutki wyjątek z listu Pani do wiadomości ogółu:

„Jestem 18-letnią brunetką, szczupłą, wysoką o niebieskich oczach i wesołem, dość często marzycielskiem usposobieniu. Pragnę znaleźć miłego korespondenta, z którym mogłabym nawiązać drogą wymiany myśli nić sympatji i przyjaźni..."

## RADOŚCIĄ MOJĄ DZIELĘ SIĘ Z WAMI

„*Dzidzi.*" Nie uwierzysz Kochana „Córeczko", jak bardzo mnie ucieszyły słowa Twojego listu, jaka to dla mnie radość, że mogłam cię pocieszyć i nawrócić z smutnej drogi żalu i zniechęcenia. Pragnę się Twojem uznaniem podzielić z całą moją „Rodzinką" i dlatego oddaję cześć miłego liściku do druku. Oto co pisze do mnie „Dzidzi":

„Droga Pani Zofjo! Z całego serca dziękuję że raczyła Pani umieścić na łamach „M. P." mój liścik. Również jestem Pani bardzo wdzięczna za przyjęcie do „Rodzinki" Szan. Pani. Postaram się być godną Pani córą i nie uczynić Siostrzyczkom i Braciszkom zawodu. Muszę również podzielić się z Panią tem, iż rady, których mi Pani udzieliła, okazały się bardzo skuteczne. Już teraz zaczynam trochę jaśniej spoglądać na życie i mam nadzieję, że wkrótce ołowiana chmura smutku, zmuszona będzie ustąpić miejsca pogodzie i radości życia. Mam wrażenie, że ktokolwiek bardziej zbliży się do Pani i z całem zaufaniem wynurzy przed Panią najskrytsze nawet tajniki swej duszy, dozna błogiego ukojenia, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej..."

## NAPISZCIE SŁÓW KILKA DLA „MERY"...

„*Mery.*" Załączony list przesłałam. Ułatwiam Pani poszukiwanie bratniej duszy, i apeluję do Czytelników „M. P.", by zechcieli napisać kilka słów dla „Mery", sympatycznej i młodej blondynki, mieszkającej w powiatowem miasteczku, niedaleko Gdyni. Jak tylko nadejdą liściki, natychmiast je prześlę Drogiej „Mery".

## MAŁE I SKROMNE ŻYCZENIE SPEŁNIAM

„*Znudzony Wędrowiec*". Małe i tak skromniutkie życzenie Pana spełniam i życzliwie przyjmuję do naszego grona. Sądzę również, że Sympatyczki „Krainy" zainteresują się Panem i nie pozwolą się nudzić, jak wnioskuję z pseudonimu. Równocześnie proszę przesłać adres do Redakcji, gdyż nie wiedziałabym, gdzie przekazać korespondencję.

## ADRES NAJWAŻNIEJSZY

„*Mimi i Hela z prowincji.*" Adres jest rzeczą nieodzowną, dlatego proszę o natychmiastowe przesłanie.

Kochani Sympatycy! Nowe moje „córeczki" Mimi i Hela, wesołe, miłośniczki tańca i muzyki nawiążą korespondencję z sympatycznymi Panami.

## ZAŁATWIŁAM

„*Edmund.*" List przesłałam. Zasyłam nowemu Czytelnikowi „M. P." dużo miłych pozdrowień i wyrazów serdeczności.

## ZA WSZYSTKIE JASNE I DOBRE SŁOWA...

„*Wesoły Urwis II.*" Długo list Pana czekał na odpowiedź, ale wreszcie i na niego przyszła kolej. Cieszę się bardzo, że „Moje Powieści" Panu i kolegom tak bardzo się podobają i budzą szczery zachwyt. Ten entuzjazm naszych Czytelników dodaje nam zawsze bodźca i zachęty do pracy, i wytrwania. Załączone listy przesłałam. Za wszystkie jasne i dobre słowa dziękuję Panu z głębi serca.

## MYŚLĘ, ŻE „DEMON" NAPISZE...

„*Bonita.*" List Pani ogromnie mnie zainteresował. Żałuję bardzo, że czas mój ograniczony, bo chętnie podyskutowałabym z Panią o poruszonych tematach. Nadmienię jednak krótko, że ujęcie niektórych apelów w „Krainie" jest rzeczywiście różnorodne i dziwne, ale każdy ma inny punkt zapatrywań, ograniczeń, wyobrażeń, stąd więc powstają odpowiednie odezwy. Rola zaś moja w „Krainie" jest ograniczona. Staram się w roli „mateczki" być dla każdego jak najlepszą. Każdego w miarę możności zrozumieć, pomóc, każdemu sprawić przyjemność, zadowolenie i t. d.

Widzę, że Pani jest słoneczną istotą i nadzwyczaj szczęśliwą. Mało teraz takich. Proszę, niech Pani zawsze pisze, pogody w „Krainie" tak potrzeba. Wierszyk pójdzie do druku. Myślę, że „Demon" napisze do Pani, jeżeli się dowie, że otrzyma odpowiedź „żelazo-betonową."

## WSTĘP MA WOLNY KAŻDY CZYTELNIK

„*El-De.*" Do „Krainy" wstęp ma wolny każdy Czytelnik. Pragnę więc, by Pan czuł się wśród nas jak najlepiej. Listy?! O napewno ktoś napisze, w dodatku, gdy się dowie, że jest Pan bardzo zrównoważony i bardzo inteligentny, jak wnioskuję z odebranego listu.

## NIECZYTELNY PSEUDONIM

*Kora S. — Bydgoszcz.* Ponieważ pseudonim Pana jest nieczytelnym, poprzestaję dzisiaj tylko na zapewnieniu, że do „Krainy" przyjęłam Pana oraz, że czekam na nowy liścik, lecz pisany czytelniej trochę. Może adres Pan również nadeśle?

## ZA JEDNANIE ABONENTEK DZIĘKUJĘ

*P. Marja D. — Nakło.* Wszystkie życzenia Pani załatwię. Może doniesie nam Pani, czy zostały wykonane bez zarzutu i pomyślnie. Cieszę się bardzo, że „Moje Powieści" są dla Pani tak miłą lekturą, a za jednanie nowych abonentek dziękuję Pani gorąco.

## PRZESŁAŁAM

*P. J. W. — Mińsk Mazowiecki.* List dla „Merkurego" przesłałam. Łączę miłe i serdeczne pozdrowienia.

## BĘDZIESZ MI PISAŁA, PRAWDA?

„*Bławatek z pod Śremu*" nie ma już własnej matki ani rodzeństwa, to też cieszy się, że, należąc do „Krainy" pozyska miłą „matusię, braciszków i siostrzyczki."

Kochany „Bławatku"! myślę, że Ci wśród nas dobrze będzie. O tem zresztą mi doniesiesz, prawda? A teraz kończę, i choć z oddali ściskam moją Drogą „Córeczkę."

## W CICHYM, SAMOTNYM LESIE...

„*Sarenka II.*" W cichym, samotnym lesie, zdala od świata mieszka „Sarenka" naszej „Krainy". W lecie w leśniczówce jest życie bardzo wesołe, ale zimą głuche i smutne, dlatego proszę o przesłanie miłej „Sarence" dużo liścików, aby jej leśne życie w zimowej porze płynęło interesująco i wesoło.

## ZŁOTA „GWIAZDECZKA"

„*Gwiazdeczka*". Któż nie lubi złotych, ślicznych gwiazdek?... Chyba nie ma takiego! To też żywa „Gwiazdeczka", o złotych włosach i niebieskich oczach, zainteresuje niewątpliwie przedstawicieli naszej „Rodziny". Liściki przyrzekam jej natychmiast przesłać.

## CHĘTNIE SŁUŻĘ PROTEKCJĄ...

„*Filozof*". Chętnie służę Panu protekcją i przedstawiam mojej „Rodzince" młodego Sympatyka, średniego wykształcenia, kędzierzawego blondyna o niebieskich oczach i czarnych brwiach. Mieszka w cichej wiosce, dalekiej od gwaru i marzy o nawiązaniu sympatycznej korespondencji. Dziękuję za pozdrowienia i proszę o przesłanie dokładnego adresu.

---

## *Teczka Wujka Janusza*

### DZIŚ JUŻ NIE CIERPIĘ...

Dziś już nie cierpię, jak dawniej, przed dniami,
Żadna z mej piersi nie wydrze się skarga,
Żaden ból sercem mem nie zatarga,
Bo wziąłem rozbrat ze smutkiem i łzami.

Dziś już nie cierpię, jak dawniej, przed dniami,
Bo już w twą miłość dziewczyno nie wierzę,
Wszystko skończone już między nami,
I do cierpiących już nie należę.

Dziś już nie cierpię, jak dawniej, przed dniami,
Żadna już piękność nie zdoła mnie złudzić,
I serca mego nie zdoła zbudzić,
Bo na nic miłość i szczęście się zda mi.

Dziś już nie cierpię, jak dawniej, przed dniami,
Nic mnie nie porwie swym, chwilowym szałem,
Wierzyć i kochać na zawsze przestałem
I wziąłem rozbrat ze smutkiem i łzami.

*„Ord-Om" — Gołaszewo.*

## HALKO MOJA!...

Halko moja, Halko droga,
Żegnam, żegnam cię...
Nie płacz!... zlituj się na Boga,
Otrzyj łezki swe.
Przejdą, przejdą twoje smutki,
Znów będziemy wraz...
O, Halino! — Hej, Halino w piękny
wiosny czas...

Ja nie płaczę, mój ty miły,
Że odchodzisz het,
Tylko lękam się jedyny,
Czy powrócisz wnet!?
Da Bóg wrócić... wrócę prędko
Do Halusi swej...
Hej! wojenko, luba chętko
Z trosków: śmiej się, śmiej!

Tam grzmią surmy, świszczą kule,
Wielka wojna wrze,
Krawe roje — jako ule...
Wszystkie piękna drze!...
Tam jej miły na swym czele,
Pędzi w krwawy bój...
Hej! Wojacy! — pracy wiele...
Pal!... — Nabijaj!... — Stój!...

Gdy on straszne boje toczy,
Za Ojczyznę swą...
Haluś jego łzawi oczy...
Skróć tęsknotę ma!...
I tak płyną dni czekania,
Serce woła tuż:
— Wracaj miły... słysz wołania,
Wróć do domu już!...

Poprzez łąki, pola, lasy;
On powraca sam;
Pędź mój koniu!... przeszły czasy,
Do mej luby bram!
Halko moja, Halko droga,
Witam, witam cię!...
Bitwa była wielka... sroga!...
Kocham serce twe!...

Rok 1935. *Pe...Ef.*

## BY SZCZĘŚLIWYM BYĆ!

Ach! gdzie okiem rzucę i gdzie myślą strzelę,
Tam widzę nieszczęście... pocóż mówić wiele.

Kto chce być szczęśliwym, niechaj mię posłucha,
Niech ma czyste serce, pogodnego ducha.

*„Wierna Czytelniczka."*

## JUŻ...

Już przebrzmiał słowiczy śpiew,
Przeminął wiośniany wiew,
Już wiosna minęła,
W dal, hen pierzchnęła...
A w sercu została tęsknota,
I marzeń wiosennych garść złota,
Choć wszystko minęło,
Choć wszystko pierzchnęło...

*„Córa Wichrów."*

---

## *ZAWALIDROGA MA GŁOS*

Ano, jakoś się ten Nowy Rok nieźle nam zaczął: pomarańcze stanieli. Żonie buzia spuchła tak, że gadać nie może; pepiczków nagrzeliśmy na bokserskich meczach ile tylko jem wlazło. Żyć, nie umierać, jak pragnę zdrowia!

Ale muszę wszystko po porządku zaznaczyć. Kobiecie, a zwłaszcza ślubnej małżonce pierwszeństwo się należy, więc znakiem tego trza zacząć od żony. Z tą jej buzią to było tak: Orzechy baba lubi jak rzadko. Po całych dniach mogłaby opychać. A ja znowuż jestem człowiekiem nerwowem i nie mogie słuchać jak skorupki trzaskają, w taki sposób prosze ją jak kogo dobrego:

— Żonuchna idź na złamaną ulice z temy orzechamy, bo mnie już głowa rozbolała i w ustach mam gorzko, w mieszkaniu wytrzymać nie można.

A ona mnie na to, że orzechy świąteczne danie i że do samych Trzech Króli religja przykazuje ich wtrajać.

Źle, myśle sobie, trzeba na to jakoś zaradzić. No i ma się rozumieć schowałem „dziadka". Myślicie może, kochane Czytelniki, że przestała? Zębamy zaczęła rozgryzać z jeszcze większem trzaskiem. Tego już naprawdę nie można było wytrzymać. Na złość bez całe noc przy

# Świat i życie

## Miljony tonn kurzu unosi się nad miastem

Oddawna już usiłowano przeprowadzić pomiary ilości pyłu i zanieczyszczenia wielkomiejskiej atmosfery, ale dopiero ostatnie zdobycze techniki umożliwiły dokonywanie tych badań z ogromną ścisłością.

Skonstruowano w tym celu pomysłowe liczniki, które pozwalają obliczyć ilość pyłków w otaczającem nas powietrzu, zbudowano specjalne pompy pyłochłonne, zbierające materjały do analizy powietrza z ulic, mieszkań, lokali fabrycznych, zastosowano do badań samoloty, aby stwierdzić zanieczyszczenie powietrza w rozmaitych wysokościach. Na czele tych usiłowań kroczą zwłaszcza Amerykanie i Anglicy.

Wyniki badań są niezmiernie interesujące. Stwierdzono, że o każdej porze unosi się ponad Nowym Jorkiem aż do wysokości 60 metrów niesłychana ilość pyłu, której wagę trzeba obliczać na około 2.200 tonn. Niemniej ciekawy od ilości jest skład tego pyłu. Znajduje się w nim mniejwięcej 65 proc. pyłu węglowego, 15 proc. pyłów mineralnych i popiołu, wreszcie 20 proc. ciał organicznych, łącznie z zarazkami chorobotwórczemi i innemi bakcylami. Ta olbrzymia ilość węgla, unoszącego się w powietrzu, świadczy dobitnie, jak nieekonomiczne jest zużycie materjałów opałowych i środków napędnych, zwłaszcza benzyny.

I gdyby można ten węgiel zebrać i spożytkować, to niewątpliwie pokryłby on całkowicie potrzeby jakiejś wielkiej instalacji, naprzykład elektrowni wielkomiejskiej.

Zestawiana w środowiskach wielkiego przemysłu statystyka „opadów sadzy“ potwierdza całkowicie obserwacje, dokonywane bezpośrednio przy pomocy najnowszych metod. Spalanie węgla i innych materjałów powoduje największe zanieczyszczenie powietrza. Przed wprowadzeniem udoskonalonych systemów spalania i t. zw. „chwytaczy dymu“ wynosił opad sadzy w Pittsburgu około 400 tonn na kilometr kwadratowy. Nic dziw, że technicy współcześni dokładają starań, by udoskonalić metody opałowe zarówno ze względu na oszczędność paliwa, jak i na zdrowie mieszkańców miast przemysłowych.

Równorzędnie udoskonala się także systemy oczyszczania miast, aby zapobiec rozpylaniu się w atmosferze kurzu ulicznego, składającego się z cząsteczek mineralnych i bakcyli. Oczywiście w tym kierunku osiągnięto już pewną poprawę stosunków, jednakże do zadawalniającego rezultatu jeszcze bardzo daleko, jak o tem świadczą przytoczone powyżej cyfry z życia Nowego Jorku, który przecież chlubi się zawsze wprowadzaniem w życie najnowszych wynalazków.

Niekiedy na szczęście, niezbyt często zdarzają się zanieczyszczenia powietrza, wobec których ludzkość będzie zawsze bezradna. Są to takie zwane opady pyłu, niesione wichrem na olbrzymie odległości.

Jeden z największych takich opadów pyłowych, obserwowano w marcu 1901 roku. Trąby powietrzne porwały drobny pył z pustyni Sahary i rzuciły go na znaczną część zachodniej Europy aż na odległość 4.000 klm. Ilość pyłu, która w ciągu czterech dni spadła na Europę, obliczono na 1.800.000 tonn.

Z innego źródła pochodził opad pyłowy, który nawiedził Europę w kwietniu 1928 r. a który też i u nas w Polsce wywołał zdziwienie, a nawet panikę wśród wiejskiej ludności. Pyły te zostały porwane wichrem z terenów południowej Rosji i zaniesione daleko na północ. W samej Polsce opad ten obliczano na około 1.500.000 tonn.

Oczywiście, tego rodzaju zanieczyszczenia powietrza są rzadkością. Ale nawet w normalnych warunkach „czyste“ powietrze wiejskie nie jest naprawdę nigdy czyste, wiatr niesie bowiem drobne pyłki, niedostrzegalne zazwyczaj gołem okiem.

Jest faktem stwierdzonym, że skład uprawnych gleb zmienia się powoli, ale stale z roku na rok. Jest to skutek działania wiatrów, tą drogą dokonuje się wymiana składników gleby, pomiędzy odległemi terenami.

---

stole siedziała i orzechy między zębamy rozduszała. A co który drań pękł, to aż mnie nerwy na pół metra w górę na pościeli podrzucali. Ale na rano była gotowa. Jedna włoska sztuka gdzieś jej się tak między trzonowe zaplątała, że sobie szczękie zwichła.

Rano patrzę, a moje kochanie buźką rusza, sztorcować mnie chce, a tu nic z tego nie wychodzi, mamle tylko coś pod nosem.

W ten deseń się pokazało, że wynalazek zrobiłem dla mężów posiadających pyskate żony.

Takiej tylko na święta włoskich orzechów kupić, „dziadka“ schować i niech gryzie, a potem ze dwa tygodnie będzie spokój w domu. No, co, zły wynalazek?!

Drugie pocieszające zdarzenie wyszło z temy pomarańczamy. Mnie tam osobiście nic z tego, bo jak wiadomo słodkich wódek nie używam, a już na pomarańczówkie to patrzyć nie mogie. Ale jak kto lubi, to owszem, może się cieszyć.

Prawdziwe radość to miałem tylko z tych naszych bokserów, że wykształcili Czechów zdrowo. Ale mogło być jeszcze lepiej.

Taki naprzykład Garstecki, faktycznie dostał od pepiczka trafne w nos, przewrócił się i leżał, a potem jak policzyli do dziesięciu, wstał lebiega z podłogi ukłonił się i poszedł, za pokonane ofiare dał się uznać.

A po mojemu inaczej chłopak powinien zrobić. Po odliczeniu leżyć dalej, nieprzytomniaka udawać i dopiero jak pepiczek się odwróci i zacznie ważnego zwycięzce odstawiać, niespodziewanie zerwać się z ziemi i zasunąć mu odpowiedzialne fangie w oblicze, tak, żeby do pierwszego rzędu krzeseł zleciał.

To ja rozumie byłoby zwycięstwo.

Ale cóż, bokserzy nasze to młode chłopaki, sportowej smykałki nie mają i do nich trudno mieć o to pretensje.

Ale od czego tam są sędziowie? Od czego ten frajer z kubłem, ten z zygarkiem, ten z ręcznikiem, albo ten duży, w okularach, co do radjonu rozmawia?!

Oni powinni młodziaków jak trzeba walczyć nauczyć. Ale czy to sie draniom chce? Tylko patrzom żeby walkie skończyć i po forse do kasy skoczyć. Granda, jak mnie Bóg miły!



## Ze świata

**Masło tuberkuliczne**

Niejeden z czytelników zadał sobie zapewne już pytanie, czy zachodzi obawa gruźlicy po spożyciu masła od krowy gruźliczej. Wiemy, że picie surowego mleka od chorych na gruźlicę krów — a takich jest dużo — połączone jest z poważnem niebezpieczeństwem dla zdrowia człowieka. Dlatego też należy mleko sterylizować, czyli zagrzać je conajmniej do 80 stopni.

Inaczej ma się rzecz z masłem. Doświadczenia wykazały, że przez puszczenie mleka przez centryfugę, bakterje gruźlicze wyrzucone zostają nazewnątrz, podczas gdy śmietana zbiera się w środku centryfugi. Z tego też powodu niebezpieczeństwo zarażenia się gruźlicą po spożyciu masła, pochodzącego od krowy gruźlicznej, jest zupełnie nikłe.

**Choroby podniosły kulturę ludzką.**

Według zdania Dr. Williama Pussy, z Chicago, człowiek zawdzięcza chorobom wyzwolenie swe od prymitywnych warunków życia i zdobycze naukowe. Twierdzi on, że jedną z najważniejszych pobudek ludzkości był ból fizyczny i choroba; aby uwolnić się od nich, ludzie próbowali różnych sposobów — między innemi religja i magja powstały na tem tle. Chorobom mamy także do zawdzięczenia cały wspaniały rozwój medycyny dawniejszej i obecnej. Z tego także źródła wypływa naukowy punkt widzenia, ponieważ ludzie spostrzegli, że choroby są spowodowane przyczynami fizycznemi i zaczęli szukać i badać takowe.

**Płacz jest konieczny dla zdrowia**

W organiźmie człowieka zatroskanego lub takiego, którego spotkało wielkie nieszczęście, tworzą się pewne ciała, szkodliwie działające na ustrój. Płacz, jak wiadomo, sprawia w podobnych wypadkach ulgę. Ludzie, którzy nie płaczą, cierpią więcej. Zależy to podobno od tego, że przy płaczu tworzą się przeciwciała, które wiążą substancje trujące i razem ze łzami wylane zostają nazewnątrz. Widzimy, że płacz chroni organizm przed samozatruciem.

*RADY PRAKTYCZNE*

Wełniane koce po wypraniu i wysuszeniu należy z lekka wybić trzepaczką od dywanów, co sprawi, że będą miękkie i puszyste jak nowe.

—x—

Po naoliwieniu maszyny do szycia należy kilkakrotnie przestebnować bibułę, by oliwa później nie splamiła materjału.

Przed wbiciem gwoździa w ścianę należy gwóźdź dobrze rozgrzać, co uchroni tynk od popękania

—x—

# Co słychać w polityce?

## Z.S.R.R. NABIERAJĄ EUROPĘ „NA KONSULA“

**Olbrzymie represje po zamachu na Kirowa**, wreszcie ostatnie stracenie przestępcy, Nikołajewa i 14 towarzyszy — musiały być jakoś **przez rząd sowiecki usprawiedliwione**. Toteż nie zadał on sobie wiele trudu i aby za wszelką cenę uniknąć wrażenia, że fermenty mają charakter ściśle wewnętrzny, wolał odrazu zwalić winę na obce, burżuazyjne państwa, które chciały tą drogą wsączyć „jad kapitalizmu“ i nawet finansowały spiskowców sowieckich. To „finansowanie“ musiało być bardzo mizerne, skoro jakiś anonimowy konsul obcego państwa wręczył zamachowcom tylko 5000 rubli, co według oficjalnego kursu sowieckiego wynosi 2500 dolarów, w rzeczywistości — 100 dolarów.

**Z drugiej strony Sowiety** nie mogły w tej sprawie ściągać na siebie konfliktów międzynarodowych, to też o „konsulu“ wyrażały się dosyć oględnie, oskarżając tylko kolejno to Łotwę, to Finlandję, to znów Jugosławję o udzielanie pomocy uciekinierom sowieckim.

Tymczasem nie jest rzeczą tajną, a nawet z początku przyznawały to oficjalne gazety, że opozycja trockistowsko-zinowiewowska krzewiła się bujnie wśród młodzieży, studentów wyższych zakładów naukowych. **Sam Stalin** się wyraził, że wzrost potęgi państwa sowieckiego wzmaga opór resztek wymierających klas. W rzeczywistości jest to opór przeciw przerastającej wszystko biurokracji i rozgałęzionemu systemowi szpiegowskiemu.

Echem posądzeń zagranicy o zamach na Kirowa był protest sowieckiego korpusu konsularnego, wiązano też z tą sprawą, acz zupełnie niesłusznie, wyjazd konsula łotewskiego, który tłumaczono jako odwołanie: w rzeczywistości, był to tylko urlop.

## NA BAŁKANACH

Na Bałkanach **obserwujemy pewne przemiany**, które tylko częściowo wiążą się z ogólną polityką europejską. Wymienić tu należy dalsze **odprężenie w Jugosławji**, które zaczęło się powołaniem rządu częściowo „opozycyjnego“, a w każdym razie złagodzeniem dotychczasowego kursu, wybitnie policyjnego, gdzie przeważający głos psiadali Serbowie. Zwolniony bowiem został przywódca Chorwatów Dr. Maczek, który po powrocie do zdrowia i kuracji ma zająć spowrotem poważne stanowisko w życiu politycznem. Również zostało objętych amnestją cały szereg skazanych w trybie administracyjnym za przestępstwa prasowe i polityczne, z prof. Dragolubem Iwanowiczem, który stracił katedrę na uniwersytecie i był kilkakrotnie więziony — na czele. Z początkiem stycznia premjer Jevticz ogłosił deklarację programową nowego rządu, dotyczącą polityki zagranicznej, w której postanowił iść śladami ś. p. króla Aleksandra.

W przeciwieństwie do **zmian na lepsze w Jugosławji**, w Rumunji zaznaczył się kurs ostrzejszy, obostrzono bowiem cenzurę, i tak już wzmocnioną po zabójstwie premjera Duca. Odtąd np. dzienników zagranicznych poczta nie będzie miała prawa doręczyć wcześniej, niż po upływie 48 godzin. Wreszcie w stolicy Albanji, Tiranie, panuje stan wyjątkowy. **A zatem na Bałkanach znowu zamieszki wojenne?**

## *Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie*
### *od dnia 20. I. do 26. I. 1935 r.*

*Niedziela, dnia 20 stycznia 1935 r.*

8.55 Komunikat w jęz. francuskim dla uczestników międzynarodowego raidu samochodowego do Monte Carol 10.00 Utwory wokalne. 10 30 Transmisja Nabożeństwa z Katedry św. Jana w Warszawie 12.05 Przegląd teatralny 12.15 Poranek muzyczny 14.00 Muzyka lekka 15.00 „Popatrzmy w przyszłość“ — pogadanka rolnicza 15.15 Mazury 15.25 Przegląd rynków produktów rolnych 15.35 Piosenki góralskie 15.45 Pogadanka rolnicza 16.00 „Franuś i jego bliźnięta“ 16.20 Drobiazgi fortepianowe 16.45 Program dla dzieci 17.00 Muzyka do tańca 17.50 „O książce gen. Sławoj-Składkowskiego 18.00 „Teatr Wyobraźni“ 18 45 „Życie młodzieży“ 19.00 Muzyka lekka 19.50 Feljeton aktualny 20.00 Koncert popularny 20.40 Dziennik wieczorny 20.47 „Jak pracujemy w Polsce“ 20 52 „Na wesołej lwowskiej fali“ 21.20 Transmisja z Budapesztu 22.00 „Skrzynka pocztowa techniczna“ 22 30 Wiadomości sportowe 22.45 Muzyka taneczna.

*Poniedziałek, dnia 21 stycznia 1935 r.*

6.45 Audycja poranna 12.10 Koncert 13.00 Dziennik południowy 13.05 Utwory (płyty) 15.35 Przegląd giełdowy 15.45 Koncert popularny 16.45 Lekcja języka niemieckiego 17.00 Recital 17.25 „Skrzynka pocztowa“ 17.35 Pieśni 17 50 „Zwierzęta w zimie“ 18.00 „Skrzynka pocztowa rolnicza“ 18 10 Przegląd filmowy 18 15 Muzyka symfoniczna 18 45 „Wierszyki i bajeczki“ 19.00 Audycja żołnierska 19.25 Chwilka społeczna 19.30 „Malowniczy kraj — Polska“ 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 Piosenka, cytra i harmonja. (Chór Juranda) 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce“ 21.00 Koncert symfoniczny 21.45 „Człowiek wobec morskich przestworzy“ 22.15 Muzyka taneczna 23.05 Muzyka taneczna.

*Wtorek, dnia 22 stycznia 1935 r.*

6.45 Audycja poranna 12.10 Koncert 12.45 „Mały Srulek“ — opowiadanie dla dzieci 13.00 Dziennik południowy 13.05 Dalszy ciąg Koncertu 15 35 Przegląd giełdowy 15 45 Muzyka lekka 16.55 „Skrzynka pocztowa P. K. O“ 17.00 Muzyka symfoniczna 17.25 Skrzynka językowa 17.35 Piosenki 17.50 „Skrzynka pocztowa techniczna“ 18.00 Wiadomości rolnicze 18.15 Muzyka lekka 18.45 „Powstanie styczniowe w twórczości Żeromskiego“ — szkic literacki 19.00 Recital śpiewaczy 19.20 Pogadanka aktualna 19 30 Romanse cygańskie 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 Obrazek muzyczny 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce“ 21.00 „Dzieje foxtrotta“ — reportaż muzyczny 22 15 Muzyka salonowa 22.45 „Piękno budowy muzyki polskiej“ — odczyt w języku esperanckim 23.05 Muzyka taneczna.

*Środa, dnia 23 stycznia 1935 r.*

6.45 Audycja poranna 12.10 Koncert 13.00 Dziennik południowy 13.05 Melodje z filmów dźwiękowych 15.35 Przegląd giełdowy 15.45 Fragment teatralny 16.00 Koncert 16.30 Muzyka (płyty) 16.45 Program dla dzieci: „Listy od dzieci“ 17.35 Koncert chóru Eryana 17.50 Poradnik sportowy 18 00 Skrzynka pocztowa rolnicza 18.15 „Na polską nutę“ — Koncert 18.45 „Zagadnienia ludnościowe a kryzys“ — (odczyt) 19.00 Recital śpiewaczy 19.20 Pogadanka aktualna 19.30 Dwóch grajków podwórzowych (mały skrzypek i gitarzysta) 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 Muzyka salonowa 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce“ 21 00 Koncert Chopinowski 21.30 Odczyt w jęz. niemieckim“ Wieliczka i cuda jej podziemi“ 21.40 Pieśni polskie 22.15 Muzyka salonowa 23.05 Muzyka taneczna.

*Czwartek, dnia 24 stycznia 1935 r.*

6.45 Audycja poranna 12.10 Program dla dzieci 12.30 XII-ty Koncert Szkolny z Filharmonji Warszawskiej 13 00 Dziennik południowy 13.05 Z rynku pracy 13.10 Dalszy ciąg koncertu 15.35 Przegląd giełdowy 15.45 Koncert 16.45 Lekcja języka francuskiego 17.00 Teatr Wyobraźni 17.50 Skrzynka pocztowa 18.00 Pogadanka rolnicza 18.15 Lekkie utwory fortepianowe 18.45 „Co czytać“ (nowości beletrystyczne) 19.00 Utwory (Płyty) 19.20 Pogadanka aktualna 19.30 Utwory (płyty) 19 50 Wiadomości sportowe 20.00 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20 55 „Jak pracujemy w Polsce“ 21.00 Koncert wieczorny 21.45 „Manifestacje Warszawy przed powstaniem styczniowym“ — (Odczyt) 22.15 Muzyka taneczna 22 45 „Pierwotna przyroda w górach polskich“ — odczyt w języku angielskim 23.05 Dalszy ciąg muzyki tanecznej.

*Piątek, dnia 25 stycznia 1935 r.*

6 45 Audycja poranna 12.10 Fantazje operowe 12.45 „Pokarm matki — podstawą zdrowia niemowlęcia“ 13.00 Dziennik południowy 13.05 Utwory salonowe 15.35 Przegląd giełdowy 15.45 Koncert Orkiestry 16.25 Koncert Chóru „Echo“ 16.45 Audycja dla chorych 17.15 „Zegary grające“ — Reportaż 17 50 „Przegląd wydawnictw“ 18.00 „Wiadomości rolnicze“ 18.15 Muzyka taneczna 18.45 „Ochrona przyrody i łowiectwo“ Odczyt 19.00 Recital śpiewaczy 19.20 Pogadanka aktualna 19.30 Utwory skrzypcowe 19.50 Wiadomości sportowe 20 00 „Jak sędzić święto?“ 20.05 Pogadanka muzyczna 20.15 Koncert symfoniczny 22.30 Recytacje poezyj 22.40 Koncert reklamowy 23.05 Muzyka taneczna.

*Sobota, dnia 26 stycznia 1935 r.*

6.45 Audycja poranna 12.10 Koncert 13 00 Dziennik południowy 13.05 Dalszy ciąg muzyki 15.35 Przegląd giełdowy 15.45 Najnowsze nagrania na płytach 16.30 „Teatr Wyobraźni“ 17 00 Dumki polskie 17.50 „Nowoczesny „savoir vivre“ — Odczyt 18 00 „Przegląd wydawnictw rolniczych“ 18.15 Duety operowe 18.45 Reportaż z fabryki kauczuku 19.00 Sonata d-moll na wiolonczelę i fortep. w wyk. Zofji Adamskiej (wiolonczela) i Ignacego Rosenbaama 19.20 „Wiśnicz“ (Odczyt z cyklu „Miasta i miasteczka polskie“) 19.30 Koncert 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 „Z dawnych operetek“ 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce“ 21.00 Koncert symfoniczny 21.45 „Boże Narodzenie ze ś. p. St. Przybyszewskim“ — szkic liter. 22.15 Muzyka taneczna 23.50 „Kukułka wileńska“ 23.35 Muzyka taneczna płyty 24.00 Muzyka taneczna.

## CHWILA ZASTANOWIENIA

### *Bilety wizytowe*

Kto to jest?

ITA SORSE-BOKTARESKA.

GERARD NEŁYBYGA.

REBUS



Za rozwiązanie powyższych zadań, redakcja wyznacza nagrodę w postaci dwóch książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 25-go stycznia b. r.

Rozwiązania zadań z nr. 1 „Moich Powieści“. Anagram: tka, akt, kat, tak. Szarady: Babilon.

Trafne rozwiązania nadesłali: Czesław Kozłowski — Warszawa, Henryk Silczyński — Warszawa, Stefanja Sławińska — Krzymów, Stefan Śledzikowski — Gdynia, J. S. — Kowalewo, Helena Szajner — Lublin, Helena Włokowa — Świętochłowice.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Stefanji Sławińskiej — Krzymów, pow. Konin i Stefanowi Śledzikowskiemu — Gdynia, ulica Morska 73.

# Wśród warjatów

## Upiór zamku Sokolskich

### (Romans)

20)

Hrabiego Kazimierza Zamskiego, syna swego najlepszego przyjaciela, nie odrzuci przecież, chociażby i w nocy. — Gorące uczucie szczęśliwego zaufania napełniło serce Kazimierza radością, — wreszcie uściśnie rękę zacnego męża, któremu będzie się mógł zwierzyć bez wahania, znajdzie serce, które go zrozumie. Szybszym krokiem podążył w głąb parku.

Nagle ogarnęło go to samo osłabienie, jakie przed chwilą zmusiło go do spoczynku na kamieniu przydrożnym.

„O Boże, co oni zrobili ze mnie ci nikczemni w tym ohydnym zakładzie, westchnął boleśnie Kazimierz, „zrujnowali mi całe zdrowie, — będę się musiał długo borykać, zanim odzyskam moje pierwotne siły. — Na Boga, ja rzeczywiście nie mogę iść dalej, — zdaje mi się ciągle, że mi ziemia znika pod nogami; — ha, tam widzę jakiś pawilon, — jeszcze jedną minutę, — potem powlokę się pomału do zamku".

Kazimierz słaniał się jak pijany. Z trudem dostał się do tego samego pawilonu, w którym przed chwilą miał schadzkę Alfred Robber z Lolą, upadł na tę samą kanapę, na którą rzucił był złoczyńca swoją kochanicę, aby pić z jej ust grzeszną rozkosz.

Nagle podniósł Kazimierz niespokojnie głowę.

W ogrodzie rozbrzmiewał jakiś dziki, pomięszany wrzask, usłyszał straszny krzyk, jeżeli go uszy nie myliły, wołał ktoś „morderstwo!"

Latarnie i światła ukazały się w oddali, widział dokładnie, jak wszystko dążyło w gorączkowym pośpiechu do wysokiego rozrosłego drzewa, przeczuł, że musiało się coś strasznego wydarzyć w tym spokojnym zamku hrabstwa Sokolskich, mimowoli zerwał się z kanapy.

Był gotowym pospieszyć tym przerażonym ludziom z pomocą, pobiec do nich, aby ich uspokoić, w razie potrzeby wspomóc ich swoją radą. Właśnie chciał wyjść z pawilonu, kiedy nagle sześciu ze służby rzuciło się na niego, — rozpoznał służbę po galonowem ubraniu, — jeden z nich, siwowłosy starzec, cofnął się na chwilę przerażony wstecz, zaraz jednak przyszedł do siebie, krzycząc:

„Tu jest, — ukrył się w pawilonie, — chwytajcie go, — to on, morderca!"

Zanim mógł pojąć znaczenie tego strasznego wyrazu, którym mu ów przerażony starzec rzucił w twarz, ujrzał się ze wszystkich stron otoczonym. Po grubijańsku, bez pardonu poczęli go szarpać za barki, chcąc go wyciągnąć za drzwi.

Wspomnieliśmy już przedtem, że nadwątlone jego siły nie zdołały się długo bronić, powlekli go ze sobą; w parę minut stanął przed hrabią Zygmuntem Sokolskim, któremu tak mocno zawierzył, w którego pokładał całą swoją nadzieję i o którym był przekonanym, że go przyjmie z otwartemi ramionami.

Ale tylko spojrzenie miłosierdzia pomieszanego ze wzgardą trafiło go z oczu hrabiego.

Nagle zobaczył, — o tem była już mowa przedtem, — swojego ojca, hrabiego Teodora, którego absolutnie się tutaj nie spodziewał ujrzeć.

Z okrzykiem zachwytu chciał się rzucić w ramiona ojca, ale zamiast serdecznego przyjęcia i pocałunku usłyszał znowu to straszne odurzające go słowo:

„Morderca!"

### XXV.

### Być albo niebyć.

Kazimierz Zamski stał jak słup kamienny, zdawało mu się, że ziemia usuwa mu się z pod nóg.

Gdyby w tej chwili gwiazdy poczęły poczęły spadać z firmamentu na ziemię, łamiąc i przygniatając wszystko, gdyby słońce razem z księżycem zabłysło tam w górze, fenomen ten natury nie byłby go w stanie więcej zadziwić, przerazić jak to jedno słowo, które usłyszał z ust ojca.

„Morderca!"

Kazimierz zrozumiał straszne znaczenie tego jednego słowa, tego przekleństwa ojca, — spojrzał na ziemię na blade, piękne oblicze leżącej nieruchomo, nieznajomej panny, na jej zakrwawioną pierś, — wszystko było mu jasnem: posądzano go, że on był sprawcą tej okropnej zbrodni.

Przez chwilę zdawało mu się, że ciężar tego strasznego podejrzenia, to okropne przyjęcie ze strony własnego ojca pozbawi go sił, że runie pod niem niezdolny się bronić, ale poczucie własnej niewinności podniosło go; z dumą wyprostował się i silnym głosem bez cienia jakiejś bojaźni lub niepewności zawołał:

„Mój ojcze, rzuciłeś mi w twarz takie słowo, że gdyby mnie winnego trafiło, zdruzgotałoby mnie w kawałki. — Teraz rozumiem wszystko, — znaleźliście mnie jako nieznajomego przypadkiem w tym ogrodzie, — więc posądzacie mnie o morderstwo tej tutaj u nóg mych leżącej nieszczęśliwej, ale ojcze, ja spytam cię tylko, czyś tak wychował swego syna, iżby był zdolnym do popełnienia podobnej zbrodni? Czyż mogłaby ludzka natura w przeciągu kilku tygodni tak dalece się zmienić, że ten, który przedtem brzydził się wszelkim występkiem, gardził złym czynem, nie był zdolnym do spełnienia jakiegoś tylko niehonorowego postępku, nagle przedzierżgnął się w zbrodniarza, nie wahając się czynu godnego tylko Kaina? Nie, mój ojcze, nie jestem ze szczepu bratobójcy Kaina, — twoja krew płynie w moich żyłach, twoje przekonania i zapatrywania mieszkają tu w tej piersi! Ojcze, w naszym rodzie niema zbrodniarzy, a Bóg w Niebiosach jest świadkiem, że i twój syn Kazimierz nie zdolny do podobnej zbrodni".

Ten ogień, z jakim młody, biedny mężczyzna wypowiedział te słowa, podziałały na hrabiego Zygmunta, który ze zdziwieniem spoglądał na niego. Ale hrabia Teodor przerwał tę rozmowę niecierpliwem skinieniem ręki.

„Naturalnie, że żaden zbrodniarz," odezwał się cierpko, „nie przyzna się zaraz do swojego występku, tylko będzie się bronił ile w jego siłach, przedewszystkiem trzebą mu udowodnić, — a tu już jest niezbity dowód! Powiedz, z jakiej przyczyny popełniłeś to niesłychane morderstwo? Naturalnie, moje ojcowskie serce wzbrania się uwierzyć, że mój syn mordercą, ale oto świadek, któremu nie można nie wierzyć, świadek przekonywający, — ta biedna, która tu u podnóża tego drzewa walczy ze śmiercią, ona sama powiedziała."

„Ona powiedziała?" zawołał Kazimierz porywczo, — cóż ona takiego powiedziała, — mój ojcze?"

„Tutaj nie jest miejsce, stosowne do dalszych sądów!" zawołał hrabia Teodor. „Pozwól, hrabio Zygmuncie, że — — więzień," — za żadną cenę nie wypowiedziałby starzec obecnie tego słowa ‚syn', — „zostanie odprowadzony do twojego zamku. Tam odbędzie się dalsze śledztwo, od którego będzie zależeć dalsze nasze postępowanie."

„Uczynię wszystko, czego zażądasz, hrabio Teodorze", odparł Zygmunt smutnym, grobowym głosem, poczem zwrócił się do starego Walentego i zawołał:

„Zaprowadź tego pana pod strażą czterech innych służących do mojej pracowni, naturalnie ty odpowiadasz mi za niego, więc pilnuj bacznie, aby nie uciekł."

„Panie hrabio!" zawołał Kazimierz, z trudem wydobywając pojedyncze słowa z gardła, „jestem przecież szlachcicem; — jako taki daję panu w zastaw moje słowo honoru, że nie prędzej opuszczę ten zamek, dopóki się ta nieszczęsna przygoda nie wyjaśni. Spodziewam się, że słowa moje jasne i spokojne wystarczą najzupełniej, aby okazać moją niewinność. Jestem ofiarą jakiegoś nieporozumienia."

Wypowiedziawszy te słowa drżącym, ale stanowczym głosem, który bardzo sympatycznie brzmiał w uszach Zygmunta, podniósł głowę jeszcze wyżej i pokroczył do zamku.

Służący chcieli go złapać i przytrzymać za ręce, ale jedno spojrzenie z oczu Kazimierza wystarczyło, — odstąpili, nie ważąc się go dotknąć.

Lola trzymała przez cały czas głowę Elzy na swoich kolanach, ale od chwili, kiedy zjawił się nagle Kazimierz Zamski, podniosła swe oczy na niego i nie spuściła ich więcej z oblicza pięknego młodzieńca.

Jej czarne, namiętne oczy zapaliły się nagle jakimś dziwnym ogniem, formalnie wpiła się wzrokiem w to blade, o szlachetnych rysach oblicze Kazimierza Zamskiego. Kiedy otoczony służbą pokroczył powoli do schodów, prowadzących na terasę, prześladowały go ciągle jej gorące spojrzenia, dopóki nie zniknął za szklanemi drzwiami werandy. Dopiero teraz podniosła się jej pierś pod głębokim oddechem, teraz dopiero odważyła się odetchnąć swobodniej.

„Lola!" zabrzmiał jakiś głos tuż obok niej.

Jakby ze snu zbudzona wzdrygnęła się. Jej ojciec wołał ją. Schylił się właśnie nad nieruchomem ciałem Elżutki i podźwignął je na swoje ramiona.

Zygmunt sam poniósł biedną dziewczynę do zamku, Lola i reszta służby postępowała za nim. W milczeniu skierował swe kroki do lewego skrzydła na pierwszem piętrze, którego prawie nigdy nie odwiedzał. Tutaj przy końcu korytarza były drzwi, które bardzo rzadko były otwierane. Tylko raz do roku w jeden dzień wchodził hrabia do tego pokoju i bawił w nim dłużej. Wówczas zwykł stary Walenty, szeptać do służby: „Cicho mi stąpać, pan hrabia święci dzień zaduszny."

Pokój ten był sypialnią zmarłej matki Zygmunta, kobiety o wielu zaletach serca i umysłu, do której szczególnie przylgnął młody Zygmunt i której nie mógł zapomnieć.

Otworzył drzwi pokoju i złożył Elżutkę na tem samem łóżku, na którem umarła jego matka.

Tem samem uczcił biedną dziewczynę więcej, jakby jej koronę włożył na skronie.

Żeńska służba pod rozkazami Loli zdjęła suknie z bezprzytomnej Elzy, Zygmunt tymczasem udał się do zaraz tuż przylegającego drugiego pokoju. Z niecierpliwością rozwarł okno, wychylając się z niego.

Gdzie lekarz? — Według obliczenia hrabiego musiał już dawno Alfred podążyć do miasta.

Przyobiecał przecież, że wskoczy na konia i pogalopuje do miasta, jeżeli doktor zaraz kazał zaprzęgnąć i wsiadł zaraz do bryczki, powinien już być tutaj.

„Miłosierny Boże," błagał Zygmunt, składając ręce do modlitwy i podnosząc oczy w górę, „nie zabieraj mi tego drogiego życia, — już jedno stworzenie, do którego przylgnąłem, był swojego czasu całem sercem, zabrałeś mi, o Panie, gorzej jeszcze, zaciemniłeś umysł jej na zawsze. Ty wiesz, Panie, jak silnie żałowałem tego drogiego mi życia, ile starań przykładałem, aby ją uzdrowić, — nadaremnie, — teraz, kiedy po raz wtóry przemówiło moje serce i otworzyło się nowym kwiatem miłości, mamże po raz drugi postradać to, co się stało tak drogiem? O nie, Ojcze niebieski, tak surowo nie zechcesz mnie karać, bo nie czuję się winnym aż do tego stopnia."

„Panie hrabio," zawołał jakiś głos z dołu, — „panie hrabio Sokolski, — to ja, — Alfred!"

„Sam jeden? Gdzie lekarz, z którym mieliście powrócić?"

Alfred, stojąc na dole, wskazał tylko na swoją nogę, którą musiał sobie widocznie nadwyrężyć, bo kulał.

„Nieszczęście mnie spotkało. Pędząc po gościńcu w tej ciemnocie nie zauważyłem wielkiego kamienia, — koń padł, potknąwszy się silnie i przygniótł mi nogę swoim ciężarem."

„A co z lekarzem?" spytał Zygmunt drżącym głosem, „więc nie zawiadomiłeś go, — nieszczęsny, nie wiesz, że życie ludzkie zawisło od twej szybkości i sprawności?"

„Nie pozostało mi nic innego, panie hrabio", odpowiedział Alfred, stękając przytem od czasu do czasu, jakby wielkie boleści cierpiał, „jak powrócić do zamku, — ale jeżeli pan hrabia sobie życzy, wsiądę zaraz na innego konia, zagryzę moją boleść i będę ją znosił chętnie, byle tylko uratować życie biednej naszej panience."



**Śliczne zdjęcie krajobrazu, nadesłane nam przez Czytelnika „Moich Powieści".**

Zygmunt zatrzasnął okno tak silnie, że rozbita szyba spadła Alfredowi tuż pod nogi, poczem wypadł z pokoju, wydając natychmiast rozkaz, aby dwóch służących naraz pognało na koniach do miasta.

„Przecież dla jednego głupca nie umrze mi może," zawołał z rozpaczą, „ach, biedna, biedna Elżutko, — wszystko sprzysięgło się dzisiaj na ciebie. Najlepszy koń i najlepszy jeździec padają, abyś tylko na czas nie została opatrzona."

Wpadł znowu do sypialni, gdzie złożył był poprzednio Elzę, rozkazującym ruchem ręki kazał się zgłupiałej służbie oddalić, jedną tylko Lolę zostawił przy sobie.

Rzucił się na krawędź łoża i objął dłoń Elżutki, ciągle na nowo przekonywał się, że życie nie uciekło jeszcze z tego ciała, że świeci mu jeszcze gwiazda nadziei.

Elza żyła jeszcze, ale wyglądała jak trup. Oblicze jej stało się żółte jak wosk, — oczy miała zamknięte, — pod koronkami koszuli podnosiła się słabo jej pierś, jak listek, lekkim powiewem poruszany. Od czasu do czasu potrząsał całem jej ciałem silny dreszcz, od stóp aż do głowy poczęły się trząść wszystkie jej członki; wówczas odskakiwał przerażony hrabia z okrzykiem strachu i rozpaczy, bał się, że to już ostatni atak, że biedactwo tego nie przeżyje.

Ciche pukanie do drzwi dało się słyszeć. Stary Walenty stanął na progu.

„Panie hrabio", odezwał się siwowłosy starzec, któremu zaperliły się natychmiast łzy w oczach, jak tylko spojrzał na łóżko, na bladą Elżutkę, leżącą bez ruchu, „chciałem tylko posłusznie zameldować, że zaprowadziliśmy młodego hrabiego do pracowni. Czterech ze służby postawiłem pod drzwiami, aby go strzegli."

„Nie myślę, aby tego było potrzeba," odpowiedział Zygmunt, przystępując do starego sługi do drzwi, „on dał mi wszakże swoje słowo honoru, że nie ucieknie; — jestem pewny, że dotrzyma przyrzeczenia. Ale gdzie pan hrabia Teodor?"

„W bibljotece, panie hrabio, tam zamknął się sam na sam, jak przechodziłem przedtem tuż pod drzwiami jego, — panie hrabio, ja nie dziecko, — ale nie mogłem się powstrzymać od łez. Tak boleśnie szlochał ten biedny starzec."

„Miałem jedynaka, panie hrabio," ciągnął dalej stary Walenty, „umarł mi w dwudziestym roku życia. Na jego grobie wyrywałem sobie włosy z głowy, bluźniłem przeciwko Najwyższemu, że mi zabrał mojego jedynego syna. Ale dzisiaj, panie hrabio, widząc tę wielką boleść starszego pana hrabiego, dzisiaj nie bluźnię więcej, bo — dzieci mogą być niebieską pociechą, ale mogą się stać dla rodziców piekłem już tu na ziemi, mogą im zatruć ostatnie ich chwile życia."

„Idź do bibljoteki, Walenty," rzekł Zygmunt, „i zapukaj lekko do drzwi, powiedz panu hrabiemu Teodorowi, że przyjdę do niego zaraz, jak tylko lekarz przybędzie, — najprzód, — muszę, — muszę się go zapytać, — muszę się dowiedzieć, czy możemy się cieszyć nadzieją, — czy nie."

Stary Walenty złożył ręce jakby do modlitwy i podniósł oczy do góry. Wargi jego poczęły się zlekka poruszać, — widocznie modlił się za zdrowie Elżutki.

Zygmunt powrócił na nowo na łoże boleści ukochanej dziewczyny. Wzrok jego padł na Lolę, mimowoli zadrżał jakby mu jakie ostrze wbiło się w serce.

Nie umiał sobie wytłumaczyć tego dziwnego przypadku, tylko słowa Walentego: „Dzieci mogą być niebieską pociechą, ale mogą się stać dla rodziców piekłem już tu na ziemi," brzmiały mu bezustannie w uszach.

Był tak szczęśliwym, tak niezmiernie szczęśliwym, jak odnalazł swoją córkę. — Miałażby i ona odpłacić mu jego miłość goryczą, napełnić mu serce zgryzotą i zmartwieniem? — Ach, nie, — nie. Tego chyba Bóg nie dopuści, — to się nigdy nie stanie.

Położył rękę na bujne ciemne włosy Loli, jakby ją chciał ochraniać od nieszczęścia, jakby chciał przeszkodzić, by ona nie stała się przypadkiem przyczyną troski dla drugich.

Wreszcie, — od czasu, jak znalazł Elzę pod pniem dębu na trawie w ogro-



**Książę Kentu, najmłodszy syn króla angielskiego, odbywa obecnie z swą małżonką, ks. Maryną grecką, wielką podróż poślubną. Widzimy go w towarzystwie żony na balkonie pałacu hrabiny Törring w Monachjum (Niemcy), skąd przygląda się tańcom ludowym wieśniaków okolicznych.**

dzie, upłynęłą już dobra godzina, — usłyszał toczenie się bryczki; otworzył okno i zobaczył znanego radcę tajnego, lekarza przybocznego księcia, doktora Mebiusa, jak właśnie wychodził z powozu.

Nie było lepszego lekarza w całej prowincji. Mebius był nietylko lekarzem przybocznym księcia, był zarazem lekarzem zamkowym hrabstwa Sokolskich. Oprócz tego był zaprzyjaźnionym z hrabią Zygmuntem i szanował go wielce.

„Na miłość Boga, co tu się stało?" spytał Mebius, wchodząc do pokoju, zrzucając ze siebie okrywę i przystępując do Zygmunta. Słyszałem już jakieś głuche wieści o morderstwie, — o ciężkiem zranieniu panny Elzy Rodeń, mój drogi przyjacielu, chciałbym, aby to się okazało kłamstwem!"

„Niestety to prawda, doktorze, czysta prawda", zawołał Zygmunt, podając wysokiemu o przyjemnych rysach twarzy mężczyźnie obie ręce na przywitanie, „och, mój kochany doktorze, teraz w panu moja jedyna nadzieja, prawda, że mnie pan nie opuści?"

„Tego nie zrobię, hrabio Zygmuncie, to mogę panu przysiąc, że co tylko sztuka lekarska potrafi, stanie się wszystko, aby tylko uratować pannę Elzę Rodeń."

Obrócił się i podszedł do łoża chorej. Pięć długich minut upłynęło; — wydały się one Zygmuntowi całą wiecznością. Doktor stał schylony nad Elzą, oglądnął ranę, kręcąc głową, zbadał słabo bijący puls, przyłożył ucho do piersi dziewczyny, nadsłuchując pilnie bicia serca.

Kiedy się wreszcie podniósł i światło lampy wiszącej u sufitu padło na jego twarz, zdawało się Zygmuntowi, że to twarz jakiegoś ducha, nie żyjącego człowieka.

„Doktorze," wyszeptał hrabia słabym głosem, „proszę mówić, — proszę mi powiedzieć prawdę, — wszystko wyznać, — jest nadzieja życia?"

„Nadzieja życia? — Spodziewajmy się!" odparł Mebius głucho, zdławionym głosem. „Ale będziemy musieli długo walczyć zanim tę ofiarę wydrzemy ze szponów śmierci. Morderca zadał jej cios dobrze wymierzony, gdyby nie to, że ostrze ośliznęło się na stalówce sznurówki, byłby jej przebił serce na wylot. Jak powiadam szczęśliwemu przypadkowi mamy tylko do zawdzięczenia, że stal zboczyła z pierwotnego kierunku i wbiła się w lewe płuco. Krew rozlała się po większej części w środku. Ale dama ta tak młoda, dlatego mam trochę nadziem."

„Trochę — nadziei!" drżącym głosem wydobył ze siebie te słowa hrabia Zygmunt; głowa opadła mu na piersi, cała postać skuliła się, jakby pod jakimś niewidomym ciężarem, „tylko trochę, — och, doktorze, to wyrok śmierci z pańskich ust".

„Nie, przyjacielu, wyrokiem to nie jest", odparł Mebius ze stanowczością, która podniosła nieco Zygmunta. „Ale w tej chwili nie mogę panu pomimo najlepszych chęci nic więcej powiedzieć. Użyję wszystkich środków, aby to biedne dziewczę uratować. Jednak najlepszą część dzieła musi Ten tam w górze uczynić, więc widzi, pan hrabia, — dlatego spodziewam się, że Elza przeżyje tę straszną ranę, — Bóg Najwyższy nie dozwoli, aby to paskudne morderstwo skończyło się śmiercią, chociaż dozwolił był pierwej na nie. — Ja liczę na Niego, spodziewam się Jego pomocy, ta wiara w Niego bardzo rzadko zawiodła mnie w mojej praktyce".

W milczeniu, z cierpieniem w twarzy, uścisnął hrabia rękę doktora.

„Dzisiaj zostanę całą noc w zamku", odezwał się Mebius, „będę sam czuwał u łoża chorej. Najlepiej by było, gdybyście mnie samego z nią zostawili. Dla młodej hrabianki także będzie lepiej, jeżeli położy się do łóżka, — jej nerwy ucierpiały już i tak nie mało wskutek tego okropnego wydarzenia".

„Chodź, moje dziecko", rzekł Zygmunt, podając Loli ramię, „chodź ze mną. Elzie nie będzie brakowało opieki, zostawiamy ją przecież w najlepszych rękach. Ale, doktorze, nie prawdaż, pan pozwoli, że będę zaglądał do chorej co godzinę, i będę pana męczył pytaniami, jaki stan obecny, w razie, gdyby się pogorszyło, — wtedy, — nieprawdaż, — pan każe mnie zawołać, — ja proszę pana bardzo o to, kochany konsyljarzu".

„To panu przyrzekam", odpowiedział doktór, wracając do łoża chorej.

Zygmunt wyprowadził Lolę. Na korytarzu pożegnał się z nią długim pocałunkiem.

„Śpij, moje dziecko, śpij", rzekł do niej pełnym boleści głosem, — „ja mam dzisiaj jeszcze straszne zadanie do załatwienia, — idę właśnie, aby sądzić, — mam sądzić młodociane życie, pełne nadziei, które tak cudnie się rozwinęło, a tak straszliwie za jedną noc upadło. Dobranoc, Lolu, niech cię Bóg strzeże!"

Zygmunt zwrócił swoje kroki do biblijoteki, — nie zauważył tych pełnych drwin i wzgardy, spojrzeń, jakie rzucał na niego, podczas, gdy rozmawiał z Lolą, ukryty poza słupem Alfred Robber.

W pół minuty doszedł do drzwi biblijoteki. Przystanął na chwilę, — głębokie westchnienie wydarło mu się z piersi, — zapukał. Jakieś kroki dały się słyszeć, — drzwi otworzyły się, — stanął przed hrabią Teodorem Zamskim.

Ale to nie był ten sam mężczyzna, który przed dwoma godzinami wstąpił do zamku. Wówczas robił wrażenie męża w sile wieku, o wielkiej energji, który jeszcze z wysoko podniesioną głową kroczy przez życie, — teraz jednak, — Zygmunt przeraził się, wpatrzywszy się w to blade, cierpieniem w te szerokie, nieruchome, bez łez oczy, w to wysokie czoło, poorane nagle tysiącem zmarszczek.

„Ach, to ty, Zygmuncie", wyrzekł, jakby ze snu obudzony hrabia Zamski, dobrze, — dziękuję ci, żeś przybył, proszę cię nie traćmy czasu. — Walenty, — przyprowadź nam tu mordercę".

„Mordercę", wyrzekł z trudem Zygmunt, chwytając za rękę starca i prowadząc go trochę w głąb biblijoteki, „Teodorze", — nie zapominaj, — ty mówisz o swoim synu".

„O moim synu", wyrwało się z piersi hrabiego z gniewem, wargi poczęły mu drżeć jak we febrze, „to się zaraz pokaże, czy mam jeszcze syna, czy nie; — znajdę go winnym, wtedy, — na honor mego domu, na popioły moich przodków, nie ujdzie zasłużonej kary, — poślę go choćby na szubienicę, — tam, gdzie wszyscy mordercy kończą."

Zygmunt zadrżał, lękliwym wzrokiem spoglądał na wysoką, ogromną postać hrabiego Teodora, która się przy ostatnich słowach znowu wyprostowała, mimowoli wyrwało mu się z warg to jedno słowo:

„Brutusie — Brutusie!"

## XXVI.

## Ojciec i syn

Na gzymsie pieca stały dwa srebrne świeczniki, w których paliło się dwanaście świec. Migotliwe blaski rzucały dziwny refleks na twarze dwóch mężczyzn, którzy zasiedli za okrągłym stolikiem w pośrodku pomiędzy ogromnemi szafami napełnionemi wielkiemi księgami.

Pięć minut upłynęło, a ani jedno słowo nie dało się słyszeć w rozległej czytelni, — na dworze powstał gwałtowny wicher, począł trzaskać okiennicami, dźwięczeć szkłem, wyć w kominie i zawodzić tak, że robił wrażenie jęku jakiejś biednej, męskiej piersi.

Powoli rozwarły się drzwi. Na progu ukazał się hrabia Kazimierz. Był blady, ale przygotowany, w oczach migał mu nawet promień radosnej nadziei.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

# Tajemnice Wenecji

*(Przekład z francuskiego)* 71)

Niepewność niepokoiła tego uczciwego człowieka. Wszystko mógł wyjaśnić jeden tylko hrabia Mirafiore, nic zatem dziwnego, że Capello z niecierpliwością oczekiwał na Jacopa,świadomego miejsc pobytu starca.

Długo czekał i napróżno, wieczorem dopiero przybył Bembo i oznajmił admirałowi, że nie znalazł wyławiacza trupów i z nadejściem poranku rozpocznie poszukiwania.

Capello położył się na kanapie. Zrana obudził go Bembo, donosząc, że Jacopo niebawem przybędzie.

Wkrótce do pokoju wszedł pożądany gość.

— Od wczoraj czekam na was — rzekł Capello do wyławiacza trupów.

— Na wyspie San Nicolo wybuchł pożar, monsignore, musiałem pomagać rybakom gaszącym ogień — objaśnił Jacopo.

Bembo się oddalił i Capello pozostał sam z wyławiaczem trupów.

— Mam z wami do pomówienia w nader ważnej sprawie — rzekł Capello — w sprawie admirała hrabiego Mirafiore. Doniesiono mi, że signorina Edyta Almafi, znalazła go w starej wieży i z waszą pomocą ukryła w niewiadomem dla mnie miejscu.

Jacopo zadrżał...

— Możecie mi zaufać — rzekł Capello spostrzegłszy przerażenie wyławiacza trupów — jestem przyjacielem hrabiego i byłbym szczęśliwym, gdybym mógł wprowadzić do Wenecji szlachetnego starca, którego wszyscy uważali za umarłego.

— Jaśnie oświecony hrabia jest bardzo słaby i dlatego pozostaje w ukryciu — rzekł Jacopo.

— A więc zaprowadźcie mnie do niego.

— Mogłoby to zwrócić uwagę nieprzyjaciół hrabiego.

— Zachowam wszelkie ostrożności. Cierpliwość moja przechodzi już granice. Pragnę wyjaśnić sprawę.

— Jaśnie oświecony hrabia przebywa w domku należącym do pałacu dożów — objaśnił Jacopo.

— W sklepionym, wilgotnym domku? Nie pozwolę, aby w nim pozostawał. Ukryjemy go w wygodniejszem miejscu. Przewieziemy go na galerę, stojącą na kotwicy w pobliżu arsenału; tam admirał oczekiwać będzie na swoje wyzdrowienie. A potem w tryumfie poprowadzimy go do pałacu dożów, przed oblicze rady dziesięciu!

— Oh, monsignore, gdyby to można było uczynić.

— Ja wszystko biorę na siebie.

— O dzięki wam monsignore! Będzie to czyn szlachetny.

— Dzisiejszej nocy przewieziemy admirała. Wieczorem oczekujcie w swojej łódce przy placyku Piazetta, zawieziecie mnie do domku.

Jacopo przyrzekł spełnić rozkaz i uszczęśliwiony wyszedł z pokoju.

Z nadejściem wieczoru Capello udał się na oznaczone miejsce. Wkrótce do brzegu zbliżyła się łódka wyławiacza trupów. Admirał wskoczył do łódki i tą niebawem zniknęła pośród ciemności.

— Czy admirał hrabia Mirafiore został powiadomiony o mojej wizycie? — zapytał Capello.

— Zawiadomiłem signorę Edytę, ona miała przygotować jaśnie oświeconego hrabiego — odrzekł Jacopo.

Łódka niebawem przebyła niewielką przestrzeń dzielącą placyk od sklepionego domku.

Capello wyskoczył na brzeg. Jacopo wyprzedził admirała i zbliżywszy się do domku zastukał. Natychmiast otworzyły się drzwi — na progu stanęła Edyta.

— Niepokoję was signoro — zdejmując kapelusz rzekł Capello — ale mam nadzieję, że ze względu na cel, późna wizyta będzie mi wybaczoną.

— Szlachetny Capello — ozwał się głos w głębi domku.

— Admirał — zawołał uszczęśliwiony Capello. — Proszę was signoro, prowadźcie mnie do niego.

— Ojciec mój czuje się daleko lepiej; i z niecierpliwością oczekiwał was, monsignore — rzekła Edyta i poprowadziła admirała do łóżka swojego ojca.

— Mój drogi admirale! — klękając, zawołał Capello. — Błogosławiona godzina, w której dowiedziałem się o waszem przybyciu.

— Powstańcie, szlachetny Capello. Przyjaźń wasza radością napełnia moje serce.

— Przybyłem tu, aby przewieźć was monsignore, na państwową galerę. Nie pozwolę wam pozostawać w tej wilgotnej i ponurej izbie.

— Dobrze, dzięki wam! Przyjmuję waszą ofiarę i natychmiast udaję się w podróż. Pomóż mi powstać moja córko — rzekł starzec zwracając się do Edyty.

Starzec powstał i wyszedł z domku wspierany przez córkę i admirała. Niebawem wszyscy siedzieli w łódce. Jacopo ujął wiosło i odbił od brzegu.

Po godzinnej podróży łódka zatrzymała się koło potężnej państwowej galery.

Hrabia Mirafiore został przeniesiony na pokład, a stary wyławiacz trupów powracał do swojego domku.

## ROZDZIAŁ LII.

### Walka w gondoli

W czasie gdy Capello rozmawiał w pałacu dożów z wyławiaczem trupów, Jingo wyszedł z pałacu Mirafiore, wsiadł do gondoli i popłynął do strażnicze wieży.

Poprzedniego dnia, w pałacu Daponte odbywał się wielki obiad, w czasie którego zebrani senatorowie bardzo wiele mówili o admirale hr. Mirafiore, będącym niegdyś w niewoli na wyspie piratów. Mieli oni jeszcze nadzieję, że admirał przybędzie do Wenecji.

Jingo spieszył do starej wieży, chcąc się dowiedzieć, czy hrabia umarł już z głodu i pragnienia. Wieczór już zapadł zupełny, kiedy nędznik przybył na wyspę. Wyszedłszy z gondoli, spieszył do starej wieży. Nic nie zakłócało wieczornej ciszy. Na niebie połyskiwały mirjady gwiazd. Księżyc ukazał się na niebie i blade promienie rzucał na cały świat.

Jingo przystanął nagle... nie wierzył swoim oczom... drzwi wieży były otwarte... Przerażony pobiegł do wieży i wpadł do jej wnętrza. Admirała nie było.

Stefana! To dzieło Stefany! Ona zdradziła tajemnicę. Być może sprzedała ją... Może wyjechała już z Wenecji? Należało dowiedzieć się o tem. Jingo zacisnął pięści.

— Umrzesz wiedźmo, jeżeli nie wyjechałaś jeszcze. Zdradziłaś tajemnicę. Dokąd mógł się udać admirał? Pytanie to jak kamień przygniatało jego umysł. Może Stefana zdoła go objaśnić.

Powrócił do gondoli i rozkazał wioślarzom płynąć na Lido.

Gondoljerzy rozwinęli żagle i wkrótce przybyli na wskazane miejsce.

Jingo pobiegł do domku Stefany. W oknach jaśniało światło. A więc nie wyjechała. Za chwilę rozstrzygnie się jej los.

Zastukał.

— Kto tam? — zawołała Stefana.

— Otwórz! — rozkazał Jingo.

Stefana poznała Jinga po głosie; wizyta przeraziła ją, wahała się bowiem z otworzeniem drzwi.

— Otwieraj! — po raz drugi zawołał Jingo. — Mam z tobą do pomówienia.

Stefana otworzyła drzwi.

— Wielki to zaszczyt dla mnie, monsignore — rzekła kłaniając się.

— Wejdź do izby — rzekł Jingo.

— Do usług, monsignore.

— Sama jesteś?

— Samiuteńka.

— Dlaczego nie wyjechałaś jeszcze? Wszak otrzymałaś pieniądze?

— Dotrzymam przyrzeczenia, ale przecież muszę się przygotować do podróży.

— Gdzie jest admirał? — rzucając na Stefanę piorunujące spojrzenie, zapytał Jingo.

— Albo ja wiem.

— Złamałaś przysięgę.

Stefana z przerażeniem spojrzała na Jinga.

— Co się z nim stało? — szepnęła.

— Sama zobaczysz. Pójdź ze mną — rozkazał Jingo.

— Dokąd, monsignore?

— Do starej wieży.

— O tej porze? Tak daleko.

— Pojedziemy. Gdzie jest twoja łódka?

— Przy brzegu.

— A więc chodź.

Stefana nie wiedziała co począć.

— Nie mamy chwili do stracenia — rzekł Jingo. — Dlaczego się wahasz?

— Wolałabym nie jechać, monsignore.

— Chcesz mi się sprzeciwić?

— Dobrze, pojadę, ale zgóry zapowiadam, że jeśli to zasadzka, umrzemy oboje.

Rzekłszy to, zagasiła światło i wyszła wraz z Jingiem. Doszedłszy do łódki zawahała się. Towarzystwo Jinga nie nęciło jej wcale. Nie można mu było dowierzać. Kto wie, czy nie postanowił jej zabić? Oczy jego miały tak złowrogi wyraz. Jingo wszedł do łódki.

— Ja będę wiosłować — rzekła Stefana.

— Spiesz się! — krótko rzekł Jingo.

Stefana weszła do łódki, ujęła wiosło i odbiła od brzegu, nie spuszczając oka z mniemanego hrabiego. Byli już niedaleko wieży, kiedy Jingo rzekł nagle:

— Miej się na baczności, skręć na prawo, inaczej rozbijemy się o kamienie.

Posłuszna skierowała łódź na prawo. Jingo, widząc, że Stefana wiosłuje z całych sił, rzucił się na nią podobny do rozwścieczonego tygrysa. Usiłował strącić ją do wody, ale plan ten nie był łatwy do urzeczywistnienia. Obdarzona męską siłą Stefana, oparła mu się. Wiosło wypadło jej z ręki. Jingo przerachował się, Stefana była silniejszą niż przewidywał i ona teraz usiłowała wyrzucić go z łódki.

— Omyliłeś się dobry panie — zawołała. — Ale tym razem nie daruję ci tej nikczemności.

Nagle łódka się przechyliła, i walczący wpadli do wody. Jingo uczepił się łódki, usiłował wleźć do niej; daremnie: czuł jak dwie silne ręce odciągały go od tej deski zbawienia. Stefana uchwyciła go swojemi silnemi ramiony. Za chwilę siły zaczęły ją opuszczać; Jingo wiedział, że pociągnie go w głębię, jeżeli nie zdoła się wyrwać z tego żelaznego uścisku. Z nadludzką siłą, jaką powoduje śmiertelna trwoga utraty życia, Jingo odepchnął od siebie Stefanę.

Był wolny. Zaczerpnąwszy powietrza, popłynął do brzegu. Upadając prawie ze znużenia, uczuł grunt pod nogami. Obejrzał się do koła. Stefany nie było widać. Drżąc z zimna, zawlókł się do strażniczej wieży.

Laureta ujrzawszy go, cofnęła się przerażona.

— Santa Madonna, monsignore, co się stało? — zawołała załamując ręce.

— Gondola się przewróciła — rzekł drżącym głosem — przygotujcie mi posłanie, na którem mógłbym odpocząć, potem wysuszcie moją odzież.

Laureta spełniła rozkaz. Za chwilę Jingo spoczywał na łóżku strażnika, a przy kominie suszyła się odzież. Odpocząwszy przywołał strażnika.

— Czy nie widzieliście starca, o którym wspominałem wam? — zapytał.

— Właśnie jeździłem do miasta, monsignore i doniosłem, że starca znaleziono w starej wieży.

— Kto go znalazł?

— Signorina Edyta Almafi, monsignore.

— Jakto, signorina Edyta Almafi? Czy, starzec żył?

— Żył, monsignore!

— Żył?

— Był bliski śmierci, lecz silny organizm zwyciężył głód i pragnienie.

— Gdzież on teraz przebywa?

— Nie wiem, monsignore, ukrył go wyławiacz trupów.

Jingo nie pojmował grozy zagrażającego mu niebezpieczeństwa, był przekonany, że admirał był znaleziony żywym, jednak umarł już z osłabienia. Niespokojny ubrał się i rozkazał strażnikowi, aby odwiózł go do miasta. Ludovico uciszony, że może oddać usługę potężnemu hrabiemu, natychmiast przygotował łódkę, i za chwilę Jingo powracał do Wenecji.

## ROZDZIAŁ LIII.

### Przybycie do Wenecji

W zdrowiu admirała zaszło bardzo znaczne polepszenie. Teraz jedynem jego pragnieniem było jak najprędzej przybyć do Wenecji i upomnieć się o swoje prawa. Capello uczynił wszystko, aby starzec miał potrzebne wygody. Natychmiast po przybyciu na galerę, przeniesiono go do wygodnej kajuty; takąż samą otrzymała Edyta. Przy drzwiach postawioną została straż honorowa. Cała załoga galery była szczęśliwą, że widzi ogólnie szanowanego i lubianego ad-

mirała, którego daremnie poszukiwano na wyspie piratów. Z nadejściem dnia Capello przywołał do siebie kapitana okrętu.

— Mam dla was nader ważne zaszczytne polecenie — rzekł doń. — Udajcie się do pałacu dożów i powiedzcie, że przybyły dzisiejszej nocy admirał Orest hrabia Mirafiore, stanie przed obliczem rady dziesięciu. Następnie udajcie się do prokuratora z San Marco i zawiadomcie go, że admirał dziś przybędzie do Wenecji, niech poczyni wszystkie przygotowania konieczne do godnego przyjęcia, człowieka piastującego tak wysoką godność.

Auramente, takie kapitan bowiem nosił imię, skłonił się i wyszedł z kajuty admirała.

Wkrótce ubrany w galowy mundur, płynął do Wenecji.

Sędziwy starzec przebudził się teraz z długiego, pokrzepiającego siły snu. Spojrzawszy dookoła, przypomniał sobie zaszłe wypadki. Złożył ręce jak gdyby do modlitwy. Usiłował powstać. W tej chwili na progu kajuty ukazał się Capello, a za nim służący, niosący przepyszny, admiralski uniform, jaki przed laty hrabia zwykł był nosić. Capello wraz ze służącym, pomogli admirałowi przywdziać mundur.

Skoro tualeta była już skończoną, Capello w pełnych uszanowania wyrazach, wypowiedział hrabiemu radość swoją z powodu jego powrotu, oraz oznajmił, że tryumfalnie wprowadzi go do Wenecji. Wkrótce do kajuty przyszła Edyta; na widok ojca zdrowego, odzianego w zaszczytny mundur, w oczach jej ukazały się łzy radości. Za chwilę wszyscy zasiedli do śniadania. Uroczystość będzie długą i nużącą, należało więc pokrzepić siły.

Nagle do uszu obecnych nadbiegł odgłos wystrzału. Auramente spełnił otrzymane polecenie. W Wenecji grzmiały wystrzały zawiadamiające naród o uroczystości. Armaty admiralskiego okrętu odpowiedziały na to powitanie.

Mieszkańcy Wenecji dowiedzieli się o nieoczekiwanym powrocie admirała. Niezliczone tłumy płynęły na placyk Piazetta i na plac Św. Marca; wszyscy pragnęli ujrzeć dostojnika, który tak długo przebywał w niewoli.

Capello powstał od stołu, przy którym spożywał śniadanie z hrabią i Edytą, podniósł w górę puhar, napełniony złocistym płynem i rzekł wśród gromu wystrzałów armatnich:

— Spełniam ten kielich za pomyślność mojego poprzednika, za pomyślność powracającego do ojczyzny szlachetnego hrabiego Oresta Mirafiore.

Skoro skończył toast, do kajuty weszli oficerowie. I oni wyrazili swoją radość.

Starzec wspaniale wyglądający w swym admiralskim mundurze, był mocno tą sceną wzruszony. Zapomniał na chwilę o swojej opłakanej przeszłości, zdawało mu się, że w życiu jego nie zaszła najmniejsza zmiana, widział się jak dawniej, otoczonym morskiemi zuchami, pełnym władzy, na czele potężnych okrętów.

Uczucie to, cudowny niemal na niego wpływ wywarło. Z głową dumnie wzniesioną, bez niczyjej pomocy, wszedł na pokład okrętu.

Tu powitano go gromkiemi okrzykami.

Na pokładzie znajdowali się żołnierze, ustawieni podług stopnia zasług, galera cała otoczona była gondolami, napełnionymi żołnierzami, którzy stanowić mieli eskortę hrabiego.

Hrabia Mirafiore skłonił się obecnym i słów kilka przemówił do nich.

Znów zagrzmiał huk wystrzałów.

Teraz sędziwy admirał zeszedł do olbrzymiej państwowej gondoli, której załogę stanowili oficerowie. Starzec zajął miejsce na kanapie, nad którą rozpościerał się przepyszny baldachim; obok ojca usiadła Edyta.

Gondola żegnana wystrzałami odbiła od galery. Za nią popłynęły gondole z żołnierzami. Wszystkie te statki płynęły do placyku Piazetta. Panował tu niewypowiedziany ścisk. Wszyscy z radością mówili o powrocie hrabiego, którego wszyscy oddawna uważali za umarłego. Od schodków do pałacu dożów, byli w dwa szpalery ustawieni żołnierze. W pałacu zgromadzili się członkowie rady dziesięciu, oraz prokuratorowie. W liczbie senatorów znajdowali się inkwizytorowie: Daponte i Contarini. Jingo był nieobecny.

Daremnie szukano go w pałacu Mirafiore.

Prokurator z San Marco objawił zebranym dostojnikom, że Orest hrabia Mirafiore przybył tej nocy i będzie wprowadzony do Wenecji przez obecnego admirała.

Wszyscy zgromadzeni z radością powitali tę pomyślną wiadomość. Postanowiono powitać admirała z należną mu czcią i w tym celu wybrani senatorowie pospieszyli na placyk Piazetta.

Nareszcie gondola przybiła do brzegu i sędziwy admirał wszedł na schodki.

Naród odkrył głowy. Potężny jak piorun okrzyk: — „Niech żyje hrabia Mirafiore!“ — wzbił się w górę wysoko.

W oczach starca zajaśniały łzy radości i błyszczące jak brylanty spłynęły po jego jak śnieg białej brodzie.

Senatorowie powitali go w imieniu rzeczypospolitej. Capello wiódł Edytę. Oficerowie postępowali ich śladem, a za nimi żołnierze, których obowiązkiem było, odprowadzić hrabiego do pałacu dożów. Starzec szedł otoczony senatorami. Za chwilę wsiadł do lektyki, był bowiem bardzo zmęczony. Wśród niemilknących okrzyków ludu, hrabia wszedł do pałacu dożów. Tu usiadł na przeznaczonym dla siebie miejscu. Edyta pozostała w jednym z przyległych salonów. Skoro do salonu weszli członkowie rady dziesięciu, starzec powstał.

— Radość i wzruszenie nie pozwalają mi mówić! — rzekł słabym głosem. — Przyjmijcie monsignori, podziękowanie za zgotowane mi przyjęcie. Po długich latach ciężkiej niewoli, powitałem nareszcie moją ukochaną ojczyznę, po której tęsknota gorzej niż niewola zatruwała mi myśli, każdą godzinę życia! Bóg pomógł mi, postawił na mojej drodze ludzi, którzy ułatwili mi powrót! Dziękuję wam monsignori za zaszczytne przyjęcie i proszę o przywrócenie mnie do należnych godności oprócz admiralskiej, której się zrzekam na korzyść szlachetnego zwycięzcy piratów! Niech Bóg błogosławi rzeczpospolitą i wszystkich, którzy mnie sprzyjają!

Siły opuściły starca. Zmuszony był usiąść w fotelu. Obecni otoczyli hrabiego; każdy pragnął uścisnąć jego rękę.

— Dziwicie się hrabio, nie widząc doży — rzekł doń Daponte. — Podczas nieobecności waszej, zaszły nader ważne wypadki. Antonio Priuli został skazany na śmierć i otoczony sprzymierzeńcami uciekł z Wenecji.

— Niebawem wyjaśni się cała sprawa! — rzekł Capello. — Wkrótce będziemy świadkami dziwnych, a zarazem przerażających odkryć!.

— Nie myślmy teraz o wszystkich tych nieszczęśliwych wypadkach! — przerwał Contarini. — Cieszmy się powrotem admirała!.

— Gdzie jest syn wasz, hrabio? — zapytali senatorowie. — Dlaczegoż nie przybywa, aby powitać swojego ojca?!

— Czy nie zawiadomiono go? — zwrócił się Capello do Dandola.

— Wirgiljo hrabia Mirafiore, wczorajszego wieczoru wyjechał z Wenecji i nie powrócił jeszcze — odrzekł prokurator z San Marco.

Hrabia jak gdyby nie słysząc tej rozmowy, powstał z krzesła i zwrócił się ku drzwiom.

Obecni oznajmili, że towarzyszyć mu będą do kościoła Św. Marka, gdzie się odbędzie dziękczynne nabożeństwo. Capello rozkazał przynieść lektykę. Hrabia przywołał Edytę i ująwszy ją za rękę, zbliżył się do senatorów.

— Oto moja córka, moje ukochane dziecię!

Rzekłszy to, wsiadł do lektyki, Edyta zajęła miejsce obok ojca. Sześciu służących niosło lektykę, otoczoną najprzedniejszymi oficerami szlachty weneckiej. Wszystkie place, wszystkie ulice były natłoczone ciekawymi. Wszystkich oczy szukały Wirgiljusza hrabiego Mirafiore, według ich mniemania, uszczęśliwionego powrotem swojego ojca.

Pochód zbliżył się do kościoła Św. Marka. Admirał podał rękę Edycie i wraz z nią wszedł do kościoła.

Tu starzec ujrzał Jacopa, klęczącego przy wejściu; wobec wszystkich uścisnął jego rękę i polecił wejść do kościoła.

Tu hrabia został powitany przez dostojników kościoła. Po chwili ukląkł i głośno odmówił dziękczynną modlitwę. W kościele rozległ się śpiew, słychać było głośne łkania. Starzec błogosławił swoją ukochaną córkę...

## ROZDZIAŁ LIV.

### Tyś nie mój syn!

Jingo, jak wiemy, osuszywszy swą odzież w wieży, powracał do Wenecji w towarzystwie strażnika. Wypłynąwszy na wielki kanał, usłyszał huk wystrzałów armatnich. Ludovico przestał wiosłować i słuchał patrząc w stronę, skąd pochodziły strzały.

— Co znaczą te wystrzały? — niespokojnie zapytał Jingo.

— Nie wiem, monsignore — odrzekł strażnik.

Jingo, najwyższy i najpotężniejszy dostojnik, rzeczypospolitej, Jingo, wielki inkwizytor, nie wiedział co znaczą te wystrzały.

— Strzelają niedaleko arsenału — rzekł strażnik.

Jingo był silnie zaniepokojony, mimowoli nasuwała mu się myśl o admirale. Na ustach jego zaigrał pogardliwy uśmiech. Usiłował myśl tę oddalić od siebie. Dlaczegoż jednak strzelano? Są to powitalne wystrzały. Może który z obcych książąt przybywa do Wenecji?

— Płyń prędzej! — zwracając się do strażnika zawołał Jingo. Nagle ujrzał płynącą gondolę, skoro się zbliżyła, strażnik zawołał:

— Dlaczego strzelają?

— W Wenecji odbędzie się wielka uroczystość — zawołał gondoljer. — Placyk Piazetta i plac Św. Marka zalegają tłumy ludzi, wszyscy spieszą na spotkanie admirała hrabiego Mirafiore, który tak długo przebywał w niewoli u piratów.

Jingo zadrżał. Nie omyliło go przeczucie. Stał nad przepaścią. Należało przedsięwziąć coś stanowczego. Jingo postanowił udać się do pałacu Mirafiore; może zdąży pochwycić pieniądze, kosztowności i uciec z Wenecji. Jeszcze nie wszystko było stracone.

Łódka zatrzymała się przy schodkach wiodących do pałacu. Jingo wyskoczył z łódki, rozkazał strażnikowi oczekiwać, zamierzał puścić się niebawem w dalszą podróż. Wszedłszy do pałacu, rozkazał odejść służącym, którzy wybiegli na jego spotkanie, a sam wszedł do pokoju, w którym znajdowała się szafa, zawierająca w sobie pieniądze i klejnoty olbrzymiej wartości. Do nieopisanej trwogi dołączyła się chciwość. Drżącemi rękoma gromadził skarby. Nie był wstanie odwrócić złego, które już się stało, ale miał nadzieję, że nie zginie pod zwaliskami planu tak misternie zbudowanego. Pieniądze wsypał do skórzanego worka, kosztowności zamknął w metalowej skrzynce. Nagle do pokoju wbiegł służący.

— Monsignore — zawołał wzruszonym głosem — przybywam z radosną wieścią. Jaśnie oświecony wasz ojciec przybył do Wenecji

Trwoga wykrzywiła twarz Jinga, oczy jego stanęły słupem.

— Do pałacu zbliżają się gondole państwowe! — dorzucił służący.

Jingo biegał po pokoju jak obłąkany, wściekły rzucił się na służącego i wypchnął go za drzwi, a sam zaczął napełniać kieszenie pozostałem złotem.

Uciekać! Uciekać! Ale którędy? Przypomniał sobie uliczkę położoną z tyłu pałacu. Zbliżył się do okna... W pokoju rozległ się djabelski śmiech... Jingo śmiał się, ujrzawszy admirała płynącego w gondoli, przy nim stała Edyta... Capello wskazywał pałac i mówił coś do hrabiego. Zbliżali się do marmurowych schodków. W drugiej gondoli płynęli: Contarini, Daponte i prokurator z San Marco. W trzeciej — członkowie rady dziesięciu. Następnie płynęły gondole napełnione oficerami i żołnierzami, stanowiącymi straż honorową.

Jingo osłupiałym wzrokiem patrzał na ten obraz, czynił wrażenie obłąkanego. Widział, że wszystko stracone. Patrzał na admirała, który powrócił, aby wydrzeć mu bogactwa, stanowisko, na którem czuł się tak bezpiecznym. Wybiegł do drugiego pokoju, stąd wbiegł w korytarz, wiodący do wąskiej uliczki. Może zdoła uciec.

Otworzył drzwi wiodące na uliczkę, ale natychmiast zamknął je przerażony. Prawie cała była napełniona żołnierzami. Z ust Jinga wybiegło przekleństwo. Co czynić? Dokąd się zwrócić? Pozbawiony przytomności przebiegł korytarz i wpadł do salonu; równocześnie rozwarły się przeciwległe podwoje. Do salonu wszedł admirał i Edyta. Za nimi szedł Daponte, Contarini, Capello i reszta dygnitarzy.

— Spojrzcie hrabio Mirafiore — zawołał Capello. — Oto syn wasz Wirgiljusz.

Jingo stał blady jak trup... trząsł się jak w paroksyźmie febry...

Admirał spojrzał na Jinga.

— Tyś nie mój syn! — rzekł silnie i dobitnie.

Daponty odskoczył. Wyrazy starca wywarły na większości obecnych przerażające wrażenie.

— To nie mój syn! — rzekł admirał — to nie mój Wirgiljusz. To fałszerz, który zamordował mojego syna, a Wenecję oszukał w najhaniebniejszy sposób.

— To nie wasz syn? — zapytał Capello.

— To nie Wirgiljusz Mirafiore? — zawołał Daponte.

— Człowiek ten nazywa się Jingo Foscari — rzekła Edyta. — Nieraz go oskarżałam, nikt mi nie wierzył. Mój brat Wirgiljusz zginął z ręki tego nędznika.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

# HUMOR

*Nie znaleźli...*

Pan Salomończyk opowiada:
— Wyobraź Pan sobie — taka tragedja! Jadę furmanką i nagle za miastem napada na mnie dwóch bandytów i zabierają mi wszystko — pieniądze, zegarek, pierścionek...
— A nie miał pan rewolweru przy sobie?
— Miałem, ale na szczęście, bandyci go nie znaleźli...

*Informacja*

Na ulicy miał miejsce nieszczęśliwy wypadek. Tramwaj przejechał jakiegoś człowieka i koła obcięły mu obydwie nogi.
Dokoła poczęły się gromadzić tłumy ludzi i ci którzy stali dalej, nie mogąc dotrzeć do nieszczęśliwego kaleki, dopytywali się bliżej stojących o szczegóły wypadku.
Stojący obok jakiś jegomość od początku daje wyjaśnienia. Słysząc, że ktoś pyta „co się stało“ — odpowiadał:
— Przejechano biednego człowieka. Koła obcięły mu obydwie nogi. Biedak cierpi bardzo...
Gdy przyjechało pogotowie, przejechany rzekł omdlałym głosem do informatora:
— Dziękuję panu za łaskawe objaśnienia...

*Kobieciarz*

— Panie kapitanie, mówią o panu, że w każdym porcie ma pan narzeczoną.
— To wielka przesada, w Gdyni naprzykład jeszcze wcale nie byłem.

*Pierwsza wola*

Pan Pantoflowicz przez całe życie był „pantoflarzem“. Wczoraj pan Pantoflowicz umarł.
Gdy notarjusz otworzył testament, aby przeczytać ostatnią wolę zmarłego, znalazł następującą adnotację:
— „Moja pierwsza wola“.

*Ułatwiona matematyka*

— Co otrzymamy, dzieląc jabłko na połowę?
— Dwie części.
— Dzieląc jeszcze na połowę?
— Cztery części.
— A jeżeli każdą z tych części jeszcze podzielimy?
— Kompot...

*Troska*

Pan Ciołek jest bardzo tęgi. Pan Ciołek lubi bardzo jeździć konno. Wczoraj właśnie jechał kilka godzin i opowiada o tem swemu znajomemu:
— Powiadam ci, niema nic przyjemniejszego na świecie, jak jazda konna! Trzy godziny jechałem na koniu...
— A jak się koń czuje? — pyta znajomy.

*Wątpliwości*

— Ukochana! Jesteś zorzą poranną mego życia! Choćby los przyniósł słotę i grzmoty, choćby z nieba padały pioruny na moją głowę, z tobą, przy tobie stawię czoło każdej burzy.
— Ukochany — szepce ona — czy to mają być oświadczyny, czy też biuletyn Pimu?

*Usprawiedliwienie*

Młody Kotek spóźnił się do szkoły. Nauczyciel skrzyczał go porządnie i pyta o powód spóźnienia.
— Na ulicy jest ślisko — tłomaczy chłopiec — i co zrobiłem jeden krok naprzód, to cofałem się o dwa kroki wtył...
— To w jaki sposób przyszedłeś do szkoły?
— Odwróciłem się i poszedłem do domu...

*Wytłumaczyła*

Pani Eulalja wybrała się ze swym synkiem na spacer. Gdy znaleźli się w lesie, mamusia przystanęła i odzywa się:
— Widzisz, Tadziu, te kuleczki? To są jagody.
— A dlaczego te jagody są takie czerwone i białe?
— Bo są jeszcze zielone. Jak będą granatowe dopiero wtedy staną się czarne....

*Różnica*

— Jaka jest różnica między śniegiem a urzędnikiem?
— Taka, że urzędnik musi wstać rano, a śnieg może leżeć cały dzień!

*Nasze dzieci*

— Kaziu, daj mi prawą rączkę.
— Płosię.
— Doskonale! A powiedz mi jak poznajesz, która lewa rączka, a która prawa?
— O, to jest bajdzo skomplikowane: pława łącka ma duzy palusek z lewej stłony, a lewa łącka ma duzy palusek z pławej stłony.









**OGŁOSZENIA DROBNE**

Wyraz 10 groszy. Dla poszukujących pracy 1 ogłoszenie do 10 słów tylko 50 groszy, do 20 słów 1,— zł, do 30 słów 1,50 zł i t. d. Należność przesyłać można w znaczkach pocztowych.

*Dla córki mej*, lat 32, blondynki miłej, subtelnej, wysmukłej, biednej, szukam męża: może być ułomny, nieurodziwy, lecz szlachetny o zapewnionej egzystencji. Oferty do „Moich Powieści“ pod „Elita-Pomorze.“


PREDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł. 2,85. Pod opaską miesięcznie zł. 1,50, kwartalnie zł. 4,50 Zagranicą 1,50 zł miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8. Telefon 32.
Rękopisów nie zwraca się.
P. K. O Nr. 207.393.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/4 str. 225,- zł i td. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50% zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50%. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca ALFRED KSYCKI — Redaktor odpowiedzialny MARJA ZEMMLERÓWNA — Drukarnia L. KSYCKIEGO w Żninie.